

MARK TWAIN

PRZYGODY

TOMKA

SAWYERA

Mark Twain

Przygody Tomka Sawyera

«Public Domain»

Twain M.

Przygody Tomka Sawyera / M. Twain — «Public Domain»,

Przygody Tomka Sawyera to najślynniejsza powieść dla młodzieży autorstwa amerykańskiego pisarza Marka Twaina. Tomek Sawyer żyje w St. Petersburgu nad rzeką Missisipi z ciotką i przyrodnim bratem. Nie jest grzecznym i spokojnym chłopcem — to zdecydowanie mały urwis. Mark Twain wprowadza czytelnika w dziecięcy świat przygód, pełen zabawy i fantazji. Jest to także spotkanie z pierwszymi prawdziwymi problemami — jak pierwsza miłość, niesprawiedliwość czy przyjaźń wystawiona na próbę. Przygody Tomka Sawyera to obowiązkowa lektura zarówno dla każdego nastolatka — by przybliżyć obraz młodości bez smartfona i Internetu, jak i dla dorosłego — jako wspomnienie magicznego czasu dzieciństwa.

© Twain M.

© Public Domain

Содержание

Wstęp	5
Rozdział I	6
Rozdział II	10
Rozdział III	13
Rozdział IV	16
Rozdział V	22
Rozdział VI	25
Rozdział VII	32
Конец ознакомительного фрагмента.	35

Mark Twain

Przygody Tomka Sawyera

Wstęp

Większość przygód, opowiedzianych w tej książce, zdarzyła się rzeczywiście; w jednej czy dwóch ja sam byłem bohaterem, w innych – moi szkolni koledzy. Huck Finn jest portretem z natury. Tak samo Tomek Sawyer, ale nie według jednego pierwowzoru: jest on połączeniem charakterów aż trzech chłopców, których znałem, może zatem uchodzić za pewną kombinację psychologiczną. Dziwne zabobony, o których w książce jest mowa, panowały powszechnie wśród dzieci i niewolników Zachodu w czasie naszej historii.

Choć głównym celem mojej książki jest zabawienie młodzieży, męskiej i żeńskiej – spodziewam się jednak, że i dorośli nie będą od niej stronić, drugim bowiem moim zamiarem było w zabawnym stylu przypomnieć dorosłym, jakimi oni sami kiedyś byli, jak czuli, myśleli, mówili i jakie sami płatali figle.

Hartford, 1876

Autor

Rozdział I

– Tomek!

Cisza.

– Tomek!

Cisza.

– Gdzie go znowu poniosło? Tomek!!

Starsza pani zsunęła okulary na nos i rozejrzała się po pokoju ponad szklami; potem podniosła je na czoło i rozejrzała się ponownie. Dla takiego drobiazgu jak Tomek, patrzyła przez okulary rzadko – prawie nigdy. Były to przecież jej odświętne okulary, świadectwo jej wytwornego stylu, w gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebne. Tak samo dobrze mogłaby patrzeć przez parę żelaznych obrączek. Chwilę rozglądała się zdumiona, potem powiedziała bez gniewu, ale dość głośno, tak aby meble w pokoju mogły ją usłyszeć:

– No, czekaj, jak cię dorwę, to cię...

Nie dokończyła; schyliła się i zaczęła szturchać miotłą pod łóżkiem. Aż się zadyszała przy tym, ale na światło dzienne wylazł tylko kot.

– Co ja mam z tym chłopakiem. Nigdy nie wiem, gdzie on się podziewa!

Podeszła do otwartych drzwi, stanęła na progu i rozejrzała się po rachitycznych krzakach pomidorowych porośniętych dzikim zielskiem, to znaczy: rozejrzała się po ogrodzie. Tomka ani śladu. Zawołała głośno:

– Hop, hop! Tomek!!

Naraz usłyszała lekki szelest za swoimi plecami. Obróciła się w samą porę, aby chwycić przemykającego chłopca za kołnierz i uniemożliwić mu ucieczkę.

– A, mam cię! Że też od razu nie pomyślałam o spizarni! Coś tam robił?

– Nic.

– Nic! Popatrz na swoje ręce! I na buzię! Co się tak lepi?

– Nie wiem, ciociu.

– A ja wiem: konfitury! Sto razy ci mówiłam, że złożę ci skórę, jak mi tkniesz konfitury. Dawaj różgę!

– O rany, ciociu! Obejrzyj się! Prędko!

Ciotka Polly odwróciła się gwałtownie, zadzierając ze strachu spódnicę do góry. W tej samej chwili chłopiec dopadł już wysokiego parkanu i zniknął po drugiej stronie. Ciotka stała przez chwilę oszołomiona, a potem wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– A to urwis! Chyba już nigdy nie zmadrzeje! Tyle razy nabrał mnie przecież na ten kawał. Ale nie ma większego osła niż stary osioł. I jak można przewidzieć, co ten chłopak znowu wymyśli. Zwłaszcza że doskonale wie, na ile może sobie pozwolić i ile wytrzyma moja cierpliwość. Niech tylko na chwilę odwróci moją uwagę albo mnie rozśmieszy – to już koniec, złość mi mija i nawet nie mogę mu dać porządnego klapsa. Och, on o tym świetnie wie. Bóg mi świadkiem, że nie spełniam swoich obowiązków względem tego chłopca. „Różeczka dzieciom nigdy nie zawadzi” – mówi Pismo Święte. Grzech i męki piekielne ściągamy na nas oboje – bo diabeł w nim siedzi. Ale, mój Boże, to przecież sierotka. Syn mojej świętej pamięci rodzonej siostry. Biedactwo! Ile razy mu daruję, mam wyrzuty sumienia, że zaniedbuję jego wychowanie, a jak mu złożę skórę – to mało mi serce potem nie pęknie z żalu. Tak, życie człowieka zrodzonego z niewiasty jest krótkie i pełne trosk, jak mówi Pismo Święte, i wielka to prawda. Dziś po południu na pewno pójdzie na wagary i za karę będzie musiała kazać mu jutro pracować. Straszna to będzie rzecz dla niego – pracować w niedzielę, gdy inni chłopcy będą mogli bawić się i robić co im się podoba. Zwłaszcza, że Tomek z całego serca nie cierpi pracy, ale muszę spełnić mój obowiązek, bo inaczej byłabym sprawczynią jego wiecznej zguby.

Tomek istotnie poszedł na wagary i świetnie się bawił. Wrócił do domu tuż przed kolacją i zabrał się do pomocy małemu Murzynkowi w rąbaniu drzewa na podpałkę. Pomoc polegała na tym, że Tomek opowiadał Jimowi swoje przygody, a Jim wykonywał trzy czwarte pracy. Sid, młodszy brat Tomka (a ściśle: brat przyrodni), skończył już przydzieloną mu pracę (zbierał drzazgi), bo był to chłopiec grzeczny, który nie miał w sobie awanturniczego i niespokojnego ducha.

Podczas kolacji Tomek kradł cukier, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność, zaś ciotka Polly zadawała mu podstępne i zdradzieckie pytania, aby wyciągnąć z niego kompromitujące zeznania. Jak wszyscy ludzie prostoduszni, uważała się za mistrzynię dyplomatycznej przebiegłości i swoje najbardziej przejrzyste podstępny miała za cuda niezwykłej przenikliwości.

– Gorąco było dziś w szkole, Tomku? – pytała.

– Tak, ciociu.

– Strasznie gorąco, prawda, Tomku?

– Tak, ciociu.

– I nie miałaś ochoty pójść nad rzekę?

Tomek lekko się zaniepokoił, tknęło go niemile przecucie. Spojrzał nieufnie na ciotkę Polly, ale nie wyczytał z jej twarzy nic podejrzanego. Odpowiedział więc:

– Nie, ciociu, nie bardzo.

Ciotka wyciągnęła rękę i dotknęła koszuli Tomka.

– Ale teraz nie jest ci już gorąco?

Była bardzo zadowolona z siebie, że w tak sprytny sposób sprawdziła, iż koszula jest sucha, a przy tym nikt się nie domyśla, do czego zmierza. Ale Tomek już odgadł, czego ma się spodziewać i uprzedził jej następne pytanie:

– Kilku chłopaków zmoczyło sobie głowy pod studnią... ja też... nawet mam jeszcze mokre włosy, widzisz?

Ciotka była zła, że przeoczyła ten oczywisty fakt i że podstęp się nie udał. Nagle olśniła ją nowa, natchniona myśl: – Żeby podstawić głowę pod studnię, nie trzeba było odpruwać kołnierzyka, który ci przyszyłam, prawda?

Niepokój zniknął z twarzy Tomka. Szybko odpiął bluzę i triumfalnie pokazał nie naruszony kołnierzyk.

– A niech cię! Mogłabym przysiąc, że byłeś na wagarach i kąpałeś się w rzece. Jesteś jednak lepszy niż mi się wydawało – na razie. Możesz już iść.

Była trochę zła, że zawiodła ją wrodzona przenikliwość, ale w gruncie rzeczy ucieszyła się, że Tomek przypadkiem zabląkał się na drogę posłuszeństwa.

Nagle odezwał się Sid:

– Wiesz, ciociu, wydaje mi się, że przyszyłaś kołnierzyk białą nitką, a teraz jest przszyty czarną.

– Co? Jak? Rzeczywiście przyszyłam go białą nitką! Tomku!

Ale Tomek nie czekał na ciąg dalszy. Znalazłszy się za drzwiami, zawołał:

– Jeszcze za to oberwiesz, Sid!

Siedząc już w bezpiecznym schronieniu, Tomek zbadał dwie grube igły, wpięte pod klapą kurtki. Obie były owinięte nitkami, jedna czarną, druga białą.

– Gdyby nie Sid, nigdy by się nie połapała – mruknął. – Do licha! Raz szyje białą, a raz czarną nitką! Mogłaby się wreszcie zdecydować na jedną, bo nigdy nie pamiętam, na którą teraz jest kolej. Ale jedno jest pewne – spiorę Sida na kwaśne jabłko!

Tomek nie był chodzącym wzorem chłopców. Znał wprawdzie taki wzór, ale żywił do niego głęboki wstręt i pogardę.

Dwie minuty później Tomek zapomniał o wszystkich swoich zmartwieniach. Nie dlatego, że jego troski były mniej dokuczliwe niż te, które dręczą dorosłych, ale po prostu dlatego, że nowe, wspaniałe zainteresowanie przegnało je na jakiś czas z głowy.

To nowe zainteresowanie dotyczyło bardzo oryginalnej metody gwizdania, którą zdobył od pewnego Murzyna. Teraz pałał żądzą wypróbowania tej sztuki. Był to jakby osobliwy ptasi świergot, polegający na tym, że w króciutkich odstępach czasu należało lekko uderzać językiem o podniebienie. Dzięki pilności i wytrwałości Tomek opanował wkrótce tę metodę do mistrzostwa. Z ustami pełnymi melodii, a duszą pełną uniesienia szedł teraz ulicą i doznawał uczucia astronoma, który odkrył nową planetę – z tym, że radość chłopca była niewątpliwie większa.

W ten długi letni wieczór było jeszcze zupełnie jasno. Nagle Tomek przestał gwizdać. Stał przed nim ktoś obcy: chłopak odrobinę wyższy od niego. Pojawienie się nowego przybysza, nieważne jakiego wieku i płci, stanowiło w małej miejscinie St. Petersburg wstrząsające wydarzenie.

Chłopiec był porządnie ubrany, nawet zbyt porządnie jak na dzień powszedni. Zdumiewające! Czapkę miał niczym prosto z wystawy! Niebieska sukienka bluza, zapięta na wszystkie guziki, była nowa i elegancka, tak samo spodnie. Na nogach miał buty, chociaż to był tylko piątek! Miał nawet kokardę z barwnej wstążki! Było w nim w ogóle coś wielkowiejskiego, co oburzyło Tomka aż do głębi. Im dłużej pozeriał wzrokiem to wspaniałe zjawisko, im wyżej zadzierał nosa w pogardzie dla jego elegancji, tym nędzniejszy wydawał mu się jego własny wygląd. Obaj chłopcy milczeli. Gdy jeden się poruszył, poruszył się i drugi – ale tylko bokiem i w kółko. Cały czas mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Tomek powiedział:

- Chcesz oberwać?
- Tylko spróbuj!
- Zaraz mogę to zrobić.
- Nie dasz rady.
- Spokojna głowa.
- Nie wierzę!
- Przekonasz się!
- Nie!
- Tak!

Pełne napięcia milczenie. Potem Tomek zaczął na nowo:

- Jak się nazywasz?
- A co cię to obchodzi?
- Jak będę chciał, to będzie mnie obchodzić.
- To czemu nie chcesz?
- Jak będziesz dużo gadał, to zechcę.
- Dużo, dużo, dużo!... No i co?
- Myślisz, że jesteś taki wielki elegant, co? Mógłbym sobie jedną rękę przywiązać na plecach, a drugą cię sprać, gdybym tylko chciał.
- To czemu tego nie zrobisz? Ciągłe tylko gadasz, że możesz.
- Nie zaczynaj, bo ci dołożę.
- Phi! Takich jak ty widziałem już wielu.
- Też mi ważny elegancik! Hu, hu, co za prześliczny kapelusik!
- Jak ci się tak bardzo nie podoba, to mi go zdejmij. Ale nieprędko się potem wyliziesz.
- Kłamiesz!
- Ty sam kłamiesz!
- Tchórz! Chciałby się bić, a trzęsie portkami ze strachu!
- Zjeżdżaj stąd!
- Zamknij się, bo cię stuknę kamieniem w łeb!
- Czyżby?
- Zobaczysz!
- Więc czemu tego nie robisz? Ciągłe tylko gadasz! Po prostu się boisz!
- Wcale się nie boję!

- Trzęsiesz się ze strachu!
- Nie!
- Tak!

Znowu zamilkli. Znowu zaczęło się wzajemne okrażanie i mierzenie oczami. Wreszcie stanęli w pozycji bojowej.

- Wynoś się stąd! – krzyknął Tomek.
- Sam się wynoś!
- Nie chce mi się!
- Mnie też!

Stali tak naprzeciw siebie, wysunawszy po jednej nodze dla lepszej równowagi, i dysząc nienawiścią, z całej siły napierali na siebie. Żaden jednak nie mógł uzyskać przewagi. Wreszcie, czerwoni z wysiłku jak buraki, z zachowaniem wszelkich ostrożności odstąpili od siebie.

– Ty szczeniaku! – rzucił Tomek. – Powiem o wszystkim mojemu starszemu bratu, on cię załatwi małym palcem.

– Gwiżdżę na twojego starszego brata! Mój brat jest większy od twojego. Przerzuci go przez ten parkan jedną ręką.

(Oczywiście bracia byli zmyśleni).

- Kłamiesz!
- Gadaj sobie dalej!

Tomek dużym palcem u nogi narysował na ziemi kreskę i powiedział:

– Spróbuj przekroczyć tę linię, a stłukę cię na miazgę.

Nieznajomy natychmiast przekroczył kreskę, mówiąc:

- Zobaczymy, czy naprawdę to zrobisz.
- Nie zbliżaj się do mnie! Uważaj!
- No, miałeś coś zrobić! Na co czekasz?
- Do licha! Za marny grosz to zrobię!

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni dwie drobne monety i szyderczo nadstawił je Tomkowi. Tomek uderzeniem strącił pieniądze na ziemię.

W okamgnieniu chłopcy rzucili się na siebie i szcypieni jak dwa zaciekle koguty, zaczęli się tarzać po ziemi. Targali się za włosy, szarpali ubrania, okładali się pięściami, rozdrapywali nosy i okrywali kurzem i sławą. Wreszcie sytuacja zaczęła się krystalizować. Wśród bitewnej kurzawy pojawił się Tomek, siedzący okrakiem na wrogu i młóćący go pięściami.

– Masz dosyć? – wysapał.

Chłopak usiłował wyrwać się z uścisku i ryczał wniebogłosy, głównie ze złości.

– Masz dosyć? – i Tomek zaczął młócić na nowo.

Wreszcie chłopak wykrztusił: „dosyć” i Tomek puścił go, mówiąc:

– Zapamiętaj to sobie! Na przyszłość dobrze uważaj, z kim zaczynasz!

Nieznajomy odszedł szybko, otrzepując ubranie, płacząc i pociągając nosem. Raz po raz oglądał się za siebie i wygrażał Tomkowi, co mu robi, gdy następnym razem dorwie go w swoje ręce. Tomek odpowiedział szyderczym śmiechem i z miną zwycięzcy ruszył do domu. Ledwie się jednak odwrócił, tamten rzucił w Tomka kamieniem i trafił go między łopatki. Potem pędem rzucił się do ucieczki. Tomek gonił zdrajcę aż do domu i przy okazji dowiedział się, gdzie mieszka. Jakiś czas patrolował przy bramie, wzywając nieprzyjaciela, by stanął z nim do walki. Ale nieprzyjaciel tylko stroił do niego miny przez okno. Wreszcie pojawiła się matka nieprzyjaciela, nazwała Tomka złym, wstrętnym, ordynarnym chłopakiem i kazała mu odejść. Odszedł więc, ale zapowiedział, że jeszcze go dostanie w swoje ręce.

Tego wieczora Tomek bardzo późno wrócił do domu. Kiedy ostrożnie wchodził przez okno, wpadł prosto na ciotkę, czyhającą na niego w zasadzce. Gdy zobaczyła, w jakim stanie znajduje się jego ubranie, z całą stanowczością postanowiła skazać go w niedzielę na ciężkie roboty.

Rozdział II

Nadszedł sobotni ranek. Słońce świeciło promiennie, cały świat dyszał radością lata i kipiał życiem. W każdym sercu dźwięczała muzyka, a jeśli serce było młode, pieśń sama cisnęła się na usta. Uśmiech był na każdej twarzy i wiosna w każdym ruchu. Akacje okryły się kwieciami, powietrze przepojone było zapachem kwiatów.

Niedalekie wzgórza, spoglądające ze swej wyniosłości na miasteczko, pełne były zieleni i kusity obietnicą ciszy, szczęścia i beztrudnych marzeń.

Na bocznej uliczce pojawił się Tomek z wiadrem rozrobionego wapna i pędzlem na długim trzonku. Spojrzał na parkan i wszelka radość zgasła na jego twarzy, a dusza pogrzyła się w głębokim smutku. Parkan miał trzydzieści metrów długości i ponad dwa metry wysokości! Świat wydał się Tomkowi otchłanią, a życie nieznośnym ciężarem. Z westchnieniem zanurzył pędzel i przejechał nim po najbliższej desce. Machnął pędzlem jeszcze dwa razy, porównał znikomą zamalowaną powierzchnię z ogromem, jaki pozostał jeszcze do pomalowania i usiadł pod płótnem zupełnie załamany.

Z bramy, z wiadrem na wodę, wybiegł w podskokach Jim. Śpiewał piosenkę „Buffalo Bill”. Noszenie wody z miejskiej studni zawsze było w oczach Tomka czymś haniebnym, ale teraz zupełnie inaczej to ocenił. Przypomnił sobie, jakie wspaniałe towarzystwo zbiera się przy pompie. Chłopcy i dziewczęta – biali, Murzyni, Mulaci – czekają tam na swoją kolej, zamieniając się przy tym zabawkami, kłócąc, bijąc, baraszkując, czyli jak najlepiej uprzyjemniając sobie czas. Przypomnił też sobie, że chociaż do studni było niecałe dwieście kroków, Jim nigdy nie wracał z wodą przed upływem godziny – a najczęściej trzeba go było dopiero stamtąd sprowadzać.

– Słuchaj, Jim – powiedział – ja pójdę po wodę, a ty tu trochę pomaluj za mnie.

Jim pokręcił głową i odpowiedział:

– Nie móc, paniczu. Pani kazać mi iść po wodę i nigdzie się nie zatrzymywać. Ona powiedziec, że panicz Tomek będzie chciec, żeby Jim malować za niego, ale ona kazać mi pilnować swojej roboty. Ona sama chciec uważać na panicza malowanie.

– Oj, Jim, nie przejmuj się tym, co ona mówi. Zawsze tak gada. Daj mi wiaderko, wrócę za minutę. Ciotka nawet nie zauważy.

– Nie móc, paniczu. Pani mi głowę urwać, ona na pewno tak zrobić.

– Ona? Przecież ona nie ma pojęcia o biciu! Najwyżej postuka napałstkiem po głowie. Kto by się tym przejmował! Ciotka tylko dużo gada, ale gadanie nie boli, chyba że zacznie lamentować. Słuchaj, Jim, dam ci moją szklaną kulkę, wiesz, tę białą.

Jim zaczął się wahać.

– Biała kulka, Jim, to coś wspaniałego.

– Ach! Ona być taka śliczna! Ale paniczu, Jim strasznie się bać pani!

Jim był tylko człowiekiem. Pokusa była za wielka. Odstawił wiadro i stał się właścicielem białej kulki. W chwilę potem uciekał, aż się za nim kurzyło z wiadrem i obolałym grzbietem; Tomek malował z zapalem, a ciotka Polly wracała z pola bitwy z pantoflem w ręce i triumfem w oczach.

Energia Tomka wkrótce osłabła. Oczyma duszy widział przedsięwzięcia, które planował na dzisiaj i zrobiło mu się strasznie smutno. Niedługo zaczną tędy przebiegać inni chłopcy, wolni, pędzący na różne wspaniałe wyprawy i będą z niego kpić, że musi pracować – sama myśl o tym paliła go żywym ogniem. Wydobył cały swój majątek i poddał go dokładnym oględzinom: szczątki zabawek, szklane kulki do gry i bezimienne rupiecie. Wystarczyłoby tego do opłacenia krótkiego zastępstwa w robocie, ale na pewno nie wystarczyłoby do kupienia choćby pół godziny wolności. Włożył więc z powrotem do kieszeni swoje ubogie skarby i pożegnał się z myślą o przekupieniu chłopców. Nagle, w tej najczarniejszej rozpacz, spłynęło na niego natchnienie. Potężne, olśniewające natchnienie.

Wziął pędzel do ręki i z całym spokojem zabrał się do roboty. Właśnie Ben Rogers pojawił się na horyzoncie, ten sam Ben, którego złośliwości Tomek obawiał się najbardziej. Ben nadchodził w podskokach, co dowodziło, że było mu lekko na sercu i że zamierzenia jego były wielkie. Zajadał jabłko, a w wolnych chwilach wydawał z siebie przeciągłe głębokie tony, po których następowały basowe pohukiwania: bom – bom – bom – gdyż był właśnie parowcem.

Kiedy znalazł się blisko Tomka, zwolnił biegu, zajął środek ulicy, przechylił się na prawo i zaczął majestatycznie dobijać do brzegu, bo przedstawiał w tej chwili okręt „Wielka Missouri” i miał dziewięć stóp zanurzenia. Był równocześnie statkiem, kapitanem, dzwonkiem okrętowym i stał w wyobraźni na własnym mostku kapitańskim, wydając rozkazy i bezzwłocznie je wykonując.

– Stop, kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń!

Droga się kończyła, więc zaczął powoli skręcać na boczną ścieżkę.

– Cała wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń!

Opuścił ręce i trzymał je sztywno wyprężone przy sobie.

– Prawa wstecz! Dzyń-dzyń! Uuuuu! – Prawa ręka zataczała teraz wielkie łuki, bo była właśnie kołem sterowym, mającym 30 metrów obwodu.

– Lewa wstecz! Dzyń-dzyń! Uuuuu! Prawa stop! Wolno naprzód! Dzyń-dzyń-dzyń! Uuuuu! Hej, chłopcy, rzucić kotwicę! Gdzie cuma? Dzyń-dzyń-dzyń! Kotwica rzucona, kapitanie! Szszy! Szszy! (próbowanie wentyli).

Tomek malował, nie zwracając najmniejszej uwagi na wspaniałą parowiec.

Ben zdziwił się ogromnie, a po chwili odezwał się:

– He, he, he! Ale cię wrobili!

Jedyną odpowiedzią było milczenie. Tomek okiem artysty ocenił ostatnie pociągnięcie pędzla na parkanie, poprawił delikatnie i ponownie w skupieniu ocenił wynik. Ben podszedł do niego. Tomkowi ciężko było ukryć swoją ochotę na jabłko, ale nie odrywał się od pracy. Ben zapytał ironicznie:

– Co, stary, musisz dzisiaj pracować?

– Ach! To ty, Ben? Wcale cię nie zauważyłem.

– Wiesz, idę się kąpać, a ty? Aha, zapomniałem, że ty wolisz pracować...

Tomek obejrzał kolegę od stóp do głowy i zapytał zdziwiony:

– Co nazywasz pracą?

– Jak to, czy malowanie nie jest pracą?

Tomek znów zabrał się do malowania i odpowiedział niedbale:

– Może to jest praca, a może i nie. Wiem tylko, że tak się podoba Tomkowi Sawyerowi.

– Nie gadaj, że lubisz malować parkany.

Pędzel nie ustawał w pracy.

– Czy lubię? Głupie pytanie. Nie codziennie trafia się człowiekowi taka gratka, żeby malować parkan.

To zupełnie zmieniało postać rzeczy i całą sprawę ukazało w nowym oświetleniu. Ben przestał jeść jabłko. Tomek z najwyższą uwagą malował pędzlem po deskach, cofał się, oceniał swoje dzieło, tu i ówdzie poprawiał; sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tymi czynnościami. Ben śledził każdy jego ruch. Coraz bardziej go to interesowało. Nagle powiedział:

– Słuchaj, Tomek, daj mi trochę pomalować!

Tomek zastanowił się przez chwilę. Już miał się zgodzić, ale zmienił zamiar.

– Nie, Ben, to niemożliwe. Wiesz, ciotce Polly strasznie zależy na tym parkanie, zwłaszcza tutaj, od strony ulicy, sam rozumiesz... Gdyby to było gdzieś za domem, to ostatecznie mógłbyś spróbować, ale w tym miejscu raczej nie... Ciotka jest niemożliwie wymagająca. To musi być zrobione bardzo dokładnie. Nie wiem, czy na tysiąc, a nawet na dwa tysiące chłopaków, znajdzie się choć jeden, który umiałby to zrobić naprawdę porządnie.

– Co ty mówisz? Słuchaj, daj mi spróbować! Tylko mały kawałeczek! Ja bym ci pozwolił, gdybym był na twoim miejscu.

– Ben, zrozum, ja bym ci też pozwolił, ale ciotka Polly! Wiesz, Jim chciał malować – nie pozwoliłem, nawet Sid chciał – też nie pozwoliłem. Zrozum moje położenie. Gdybyś zaczął malować i coś ci nie wyszło...

– Tomku, proszę cię, będę bardzo uważał! Dam ci kawałek mojego jabłka!

– No dobrze... albo nie... nie mogę...

– Dam ci całe jabłko!

Tomek oddał wreszcie pędzel, z niechęcią na twarzy, a wielką radością w sercu. I podczas gdy niedawny parowiec „Wielka Missouri” pracował w pocie czoła, niedoszły artysta siedział sobie opodal na beczce, machał nogami, zjadał jabłko i upatrywał w myślach nowe niewinne ofiary.

Materiału nie brakło. Co chwila zjawiali się kolejni chłopcy. Każdy przychodził z zamiarem pośmiania się z Tomka i każdy zostawał, żeby malować. Kiedy Ben się zmęczył, z łaski Tomka przysłała kolej na Billego w zamian za niezupełnie jeszcze podarty latawiec; a gdy i Bill miał już dosyć, prawo bielenia parkanu nabył Johnny za zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim było wywijać. I tak dalej, i tak dalej, godzina za godziną. A kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Tomek, który rano był jeszcze nędzarzem, teraz stał się bezkonkurencyjnym bogaczem. Oprócz wcześniej wymienionych przedmiotów miał dwanaście szklanych kulek, połamane organki, kawałek niebieskiego szkła od butelki, przez które można było patrzeć, szpulkę do nici, klucz, który niczego nie otwierał, kawałek kredy, szklany korek od karafki, ołowianego żołnierzyka, dwie kijanki, sześć kapiszonów, kota z jednym okiem, mosiężną kołatkę do drzwi, psią obrozę, rękojeść noża, cztery skórki z pomarańczy i starą rozbitą ramę okienną. Przy tym czas spędził bardzo przyjemnie w błogim nieróbstwie, cały dzień miał towarzystwo, a parkan pokryty został trzema warstwami wapna. Na szczęście dla chłopców zabrakło bielidła, bo byłby ich wszystkich doprowadził do bankructwa.

Tomek uznał, że świat mimo wszystko nie jest taki zły. Sam o tym nie wiedząc, odkrył wielkie prawo ludzkich działań, a mianowicie: – jeśli chcemy obudzić w dorosłym lub dziecku pragnienie jakiejś rzeczy, musimy ją przedstawić jako bardzo trudną do osiągnięcia. Gdyby był wielkim filozofem (takim jak autor tej książki), to pojąłby, że pracą jest to, co musimy robić, a przyjemnością – to czego robić nie musimy. Zrozumiałby wówczas, że wyrabianie sztucznych kwiatów lub chodzenie w kieracie jest ciężką pracą, natomiast granie w kręgle albo wspinanie się na Mount Blanc jest tylko przyjemnością. Wielu bogatych panów w Anglii tłucze się powozem, zaprzężonym w czwórkę koni, dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów w upale – bo ta przyjemność kosztuje ich dużo pieniędzy, ale niechby im ktoś kazał robić to samo za wynagrodzenie, zaczęliby to uważać za pracę i woleliby z niej zrezygnować.

Rozdział III

Tomek stanął przed ciotką Polly. Siedziała przy otwartym oknie przytulnego, zaciszego pokoju, który był jednocześnie sypialnią, jadalnią, bawialnią i czytelnią. Balsamiczny zapach lata, niczym niezmacona cisza, woń kwiatów, usypiające brzęczenie pszczół – rozmarzyły starszą panią. Kiwała się sennie nad robótką, a jedyny towarzysz ciotki, kot, drzemał na jej kolanach. Okulary przezornie odsunęła na siwe włosy. Była przekonana, że Tomek już dawno zdezerterował, więc zdziwiła się niepomiarowo, gdy ujrzała go wkraczającego bez obawy w zasięg jej rąk.

– Czy mogę teraz iść się bawić, ciociu? – zapytał grzecznie.

– A ile zrobiłeś?

– Wszystko, ciociu.

– Nie kłam, Tomku. Wiesz, że tego nie znoszę.

– Nie kłamię, ciociu, zrobiłem wszystko.

Ciotka nie bardzo wierzyła słowom Tomka, wyszła więc, aby osobiście obejrzeć wynik jego pracy. Byłaby zadowolona, gdyby oświadczenie siostrzeńca sprawdziło się choć w jednej piątej części. Toteż zdumienie jej nie miało granic, kiedy zobaczyła cały parkan kilkakrotnie starannie pokryty białą farbą i to z taką gorliwością, że nawet na ziemi ciągnął się wzdłuż parkanu biały pas.

– Coś podobnego! No, no! Trzeba przyznać, że potrafisz pracować, jeśli ci się tylko chce – powiedziała w przypływie szczerego podziwu i natychmiast osłabiła komplement komentarzem: – Niestety, muszę stwierdzić, że bardzo rzadko ci się chce. No, idź się bawić, ale proszę cię, żebyś wrócił do domu jeszcze w tym tygodniu, bo inaczej dostaniesz lanie.

Była tak oszołomiona i olśniona blaskiem czynu Tomka, że zaprowadziła go do spiżarni, wybrała najładniejsze jabłko i wręczyła mu je, wygłaszając przy tym wzruszające kazanie o podwójnej słodczy nagrody, którą zdobyło się uczciwą pracą. Właśnie gdy kończyła swoją mowę zręcznie dobraną sentencją z Pisma Świętego, Tomek za jej plecami świsnął kawałek placka.

Wybiegając z domu, ujrzał Sida wchodzącego na piętro po zewnętrznych schodach. Głina była pod ręką... W powietrzu zaroilo się od kul. Świsnęły wokół uszu Sida, niczym grad; zanim ciotka Polly zdążyła się zorientować i nadbiec z odsieczą, kilka kulek weszło już w bezpośredni kontakt z ciałem brata, a Tomek w ekspresowym tempie przeskoczył parkan i zniknął. Była tam wprawdzie furtka, ale nigdy nie miał czasu, żeby z niej skorzystać. Teraz dopiero doznał prawdziwej ulgi: rachunek z Sidem za zwrócenie ciotce uwagi na czarną nitkę był wyrównany.

Tomek okrążył szereg domów i wyszedł na tyły stajni ciotki. Poczul się teraz bezpieczny przed karzącą ręką sprawiedliwości, pośpieszył więc w stronę rynku, gdzie zgodnie z umową spotykały się dwie nieprzyjacielskie armie chłopców, by stoczyć zażartą bitwę. Tomek był generałem jednej z nich, a jego serdeczny przyjaciel, Joe Harper – generałem drugiej. Obaj wielcy wodzowie nie zniżali się do osobistego udziału w walce – od tego byli zwykli żołnierze – siedzieli sobie razem na pagórku i kierowali operacjami wojennymi, wysyłając rozkazy przez adiutantów.

Po długiej i zaciętej walce armia Tomka odniosła wspaniałe zwycięstwo. Potem nastąpiło podsumowanie starć wojennych, określenie liczby zabitych, wymiana jeńców, uzgodnienie przyczyn następnego konfliktu zbrojnego i ustalenie daty nieuniknionej bitwy. Wreszcie obie armie zgodnie odmaszerowały, a Tomek sam ruszył w drogę powrotną.

Przechodząc koło domu, w którym mieszkał Jeff Thatcher, ujrzał w ogrodzie nieznaną dziewczynkę. Słodką błękitnooką istotkę, o jasnych włosach splecionych w dwa długie warkocze, ubraną w białą letnią sukienkę i haftowane spodenki. Świeżo ukoronowany zwycięstwem bohater poległ od razu bez jednego wystrzału. Pewna Amy Lawrence w okamgnieniu zniknęła z jego serca, nie zostawiając po sobie nawet najmniejszego wspomnienia. Dotąd zdawało się Tomkowi, że kocha ją do szaleństwa, że ją ubóstwia, teraz przekonał się, że było to tylko przelotne, nic nie znaczące uczucie. Przez kilka długich miesięcy zabiegał o jej względy, a ona zaledwie przed tygodniem wyznała mu

swoją miłość. Przez siedem dni był najszczęśliwszym i najdumniejszym chłopcem pod słońcem, ale w tej jednej chwili Amy ulotniła się z jego serca jak przypadkowy gość, którego czas wizyty już minął.

Rzucał teraz nowemu aniołowi ukradkowe i rozmodlone spojrzenia, aż wreszcie spostrzegł, że i ona go zauważyła. Wówczas udał, że nic nie wie o jej obecności i zaczął na wszystkie, właściwe chłopcom, głupkowate sposoby „popisywać się”, aby wprawić ją w podziw. Trwało to jakiś czas. Gdy wreszcie, wśród karkołomnych produkcji gimnastycznych, zerknął ukradkiem w jej stronę, stwierdził z bólem serca, że anioł zamierza iść do domu. Podeszedł więc do parkanu i oparł się o niego pogrążony w melancholijnym smutku. Miał słabą nadzieję, że dziewczynka zatrzyma się może choć na chwilę. I rzeczywiście, zanim zniknęła w drzwiach, przystanęła na schodkach. Tomek westchnął boleściwie, gdy noga jej stanęła na progu, ale natychmiast twarz zajaśniała mu radością: tuż przed wejściem do domu dziewczynka przerzuciła mu stokrotkę przez parkan.

Podbiegł do kwiatka, lecz o dwa kroki przed nim zatrzymał się gwałtownie, przysłonił oczy ręką i zaczął patrzeć w głąb ulicy, jakby nagle zauważył tam coś niezwykle ciekawego. Potem podniósł z ziemi słomkę i odchylając głowę w tył, w skupieniu balansował nią na nosie. W trakcie tych czynności nieznacznie przysuwał się do stokrotki. Wreszcie nakrył ją bosą stopą, zręcznie podniósł palcami nogi i – pognął ze swoim skarbem, znikając za zakretem ulicy. Zniknął jednak tylko na małą chwilę, jakiej potrzeba było do przypięcia kwiatka pod bluzą, aby znalazł się w bezpośredniej bliskości serca, a może żołądka – Tomek nie był za dobry w anatomii.

Wrócił pod parkan i popisywał się pod nim aż do nocy. Ale dziewczynka już się nie pokazała, choć Tomek pocieszał się, że może stała gdzieś za firanką i widziała dowody jego gwałtownej miłości. Z głową pełną cudownych marzeń powlókł się wreszcie do domu, chociaż serce ciągnęło go w drugą stronę.

Podczas kolacji był w tak podniosłym nastroju, że ciotka zastanawiała się, co znowu w niego „wstąpiło”. Dostał porządną burę za obrzucenie Sida gliną, ale ani trochę go to nie wzruszyło. Pod samym nosem ciotki próbował kraść cukier i w końcu dostał za to po łapach.

– Ciociu, czemu nie bijesz Sida, kiedy robi to samo? – zapytał.

– Bo Sid nie dręczy człowieka tak jak ty. Gdybym tylko spuściła cię z oczu, zaraz wlażyłbyś cały do cukierniczki.

Po chwili ciotka wyszła do kuchni. Sid, pewny swojej nietykalności, a zarazem chcąc dokuczyć Tomkowi, sięgnął bezczelnie po cukierniczkę. Tego było stanowczo za wiele. Wtem cukierniczka wyslizgnęła się Sidowi z ręki, spadła na podłogę i stłukła się. Tomek był wniebowzięty. Przygryzł język i nie powiedział ani słowa. Postanowił sobie w duchu, że będzie milczał nawet wtedy, gdy przyjdzie ciotka. Będzie milczał jak grób, aż ciotka sama zapyta, kto to zrobił. Wówczas dopiero powie i cóż to będzie za wspaniałe przedstawienie widzieć, jak ta chodząca doskonałość oberwie lanie! Serce jego było tak przepełnione szczęściem, że ledwie mógł usiedzieć, gdy ciotka wróciła z kuchni i stojąc nad stłuczoną cukierniczką, ciskała sponad okularów pioruny gniewu.

„Zaraz się zacznie” – pomyślał – i w tej samej chwili leżał jak długi na ziemi. Groźna ręka podniosła się, by ponowić uderzenie, gdy Tomek zawołał:

– Za co mnie bijesz, ciociu? To Sid stłukł cukierniczkę!

Ciotka Polly zamarła. Jakby piorun w nią strzelił. Tomek z satysfakcją oczekiwał teraz gorącego współczucia. Tymczasem ciotka, odzyskawszy mowę, powiedziała tylko:

– No, na darmo i tak nie dostałeś. Jestem pewna, że masz na sumieniu jakąś inną psotę ukrytą przede mną.

Czuła straszliwe wyrzuty sumienia i z serca wyrwały jej się na usta jakieś ciepłe, pełne miłości słowa, ale zostałyby one odebrane jako przyznanie się do winy, a na to nie pozwalały względy wychowawcze. Nie powiedziała więc nic i ze zgryzotą w sercu poszła do swoich zajęć.

Nadąsany Tomek siedział w kącie i rozczulał się nad sobą. Wiedział, że ciotka w głębi duszy błaga go na kolanach o przebaczenie i świadomość tego dawała mu mściwe zadowolenie. Ale postanowił być twardy: nie przebaczy ciotce i będzie udawał, że nie widzi jej chęci do pojednania. Z

zamglonych łzami oczu ciotki co chwilę padało w jego stronę tęskne, pełne bólu spojrzenie, lecz zawziął się, aby nie rozumieć, co ono znaczy. Oczyma duszy widział już, jak leży na łóżku umierający; ciotka pochyła się nad nim, błagając go o jedno słowo przebaczenia, ale on odwraca się do ściany i umiera w milczeniu. Ach, co się wtedy będzie działo w jej duszy! Potem wyobraził sobie, jak go przynoszą do domu, wyciągniętego z rzeki, nieżywego. Włosy mokre i zlepione, ręce zimne, lecz biedne udręczone serce nareszcie znalazło ukojenie. Ciotka rzuca się na niego, szlocha i rozpacza, błaga Boga, aby jej oddał ukochanego chłopca. Będzie wtedy przysięgać, że już przenigdy nie skrzywdzi go ani nie obrazi! Ale on leży bez ruchu, zimny i śmiertelnie blady – biedny mały męczennik, którego cierpienia nareszcie się skończyły.

Tak się przejął swoimi wymyślonymi nieszczęściami, że zaczął chlipać z żalu nad sobą. Niemal dusił się własnymi łzami, które nieprzerwanym potokiem płynęły mu z oczu i kapały z końca nosa. To roztkliwianie się nad swoją niedolą sprawiało mu taką przyjemność, że za nic w świecie nie dopuściłby, żeby jakakolwiek ziemską radość zmaćła tę błogą boleść. Jego tragiczne przeżycia były na to zbyt święte. Wszelkie pocieszenie byłoby w tej chwili niemiłym zgrzytem. Toteż gdy do pokoju wbiegła tanecznym krokiem kuzynka Mary, szczęśliwa, że po spędzeniu jednego tygodnia na wsi, znowu jest w domu, Tomek wstał i okryty czarną chmurą smutku wyszedł jednymi drzwiami, gdy ona drugimi wniosła śpiew i słońce.

Z daleka omijał miejsca, gdzie bywali jego koledzy, szukał samotnych i ponurych zakątków, które odpowiadały jego nastrojowi. Skusiła go tratwa na rzece. Usiadł na jej krawędzi i wpatrywał się w posępną wodę. Gdyby tak można było utonąć za jednym zamachem, bez bólu, z pominięciem wszystkich niewygód, jakie natura wyznaczyła kandydatom na topielców.

Nagle przypomniał sobie o kwiatku. Wyjął go. Był pognieciony i zwiędły, co napoiło Tomka jeszcze rozkoszniejszą boleścią. Zadawał sobie pytanie, czy ona żałowałaby go, gdyby o wszystkim wiedziała? Czy płakałaby? Czy chciałaby objąć go za szyję i pocieszyć? Czy też może odwróciłaby się od niego obojętnie, jak ten cały obłudny świat?

Te obrazy tak wyolbrzymiały jego rozkoszne cierpienia, że wciąż do nich powracał i oglądał ze wszystkich stron, aż od tego ciągłego oglądania zbladły i spowszedniały. Podniósł się więc z ciężkim westchnieniem i poszedł w mrok.

Około godziny dziesiątej wieczorem przechodził pustą ulicą obok domu, gdzie mieszkało jego nieznajome bóstwo. Przystanął na chwilę. Nadstawił uszu, ale nic nie usłyszał. Na piętrze padał na firankę słaby blask świecy. Czy ten pokój był uświęcony jej obecnością? Przeskoczył przez parkan, przekradł się pomiędzy klombami i stanął pod oknem. Długo spoglądał na nie z uczuciem. Potem położył się na plecach i skrzyżował ręce na piersiach, trzymając w nich zwiędły kwiatek. Tak pragnął umrzeć, samotny, wygnany w daleki zimny świat, bezdomny, pozbawiony jednej przyjaznej ręki, która starłaby mu z czoła śmiertelny pot, i kochającej twarzy, która pochyliłaby się nad nim ze współczuciem, kiedy nadejdzie wielka chwila konania. Tak też powinna go zobaczyć ona, gdy wyjdzie, aby popatrzeć na piękny poranek. Czy spadłaby wówczas z jej oczu choć jedna łza na jego biedne, martwe zwłoki? Czy westchnęłaby choć na widok tego młodego, kwitnącego życia, tak przedwcześnie i brutalnie ściętego nielitościwą kosą śmierci?

Okno na piętrze otworzyło się nagle i skrzekliwy głos służącej sprofanował świętą ciszę, a strumień zimnej wody oblał leżące na dole śmiertelne szczątki niedoszedłego męczennika.

Bohater zerwał się, krztusząc i otrząsając. Równocześnie z cichym przekleństwem rozległ się świst kamienia w powietrzu, potem słyhać było brzęk tłuczonej szyby; jakaś mała, niewyraźna postać błyskawicznie przeskoczyła przez parkan i zniknęła w ciemności.

Parę chwil później, kiedy Tomek rozebrany do spania, oglądał w świetle lojówki przemoczone ubranie, obudził się Sid. Miał straszną ochotę skomentować wygląd brata, ale ugryzł się w język – Tomkowi niedobrze patrzyło z oczu.

Tomek wlaźł do łóżka, nie zadając sobie trudu zmówienia pacierza, a Sid skrupulatnie zanotował sobie ten grzech w pamięci.

Rozdział IV

Słońce weszło nad spokojną ziemią i słało swe ciepłe promienie cichemu miasteczku. Po śniadaniu ciotka Polly odprawiła domowe nabożeństwo. Rozpoczęło się ono modlitwą, która była niby budowla wzniesiona z kolejnych, potężnych warstw cytatów z Pisma Świętego, zaś zaprawę murarską stanowiła odrobina samodzielnych pomysłów ciotki. Ze szczytu tej budowli, niczym z góry Synaj, ciotka rzuciła groźny rozdział z Pięcioksięgu Mojżesza.

Następnie Tomek „przepasał swe łądzwie” (mówiąc językiem cytatów) i zaczął wkuwać wersety z Biblii. Sid nauczył się tego już kilka dni wcześniej. Tomek skupił wszystkie siły, by wyuczyć się na pamięć pięciu wersetów. Wybrał je z kazania na górze, bo w całej Biblii nie mógł znaleźć krótszych. Po upływie pół godziny miał już mgliste pojęcie o ich treści, ale nic ponadto, gdyż umysł jego wędrował w tym czasie po rozległych obszarach myśli ludzkiej, a ręce zajęte były czynnościami raczej nie sprzyjającymi skupieniu uwagi. Mary wzięła książkę, by go przesłuchać, a Tomek zaczął z trudem przebijać się przez gęstą mgłę:

– Błogosławieni... e... e...

– Ubodzy...

– Tak, ubodzy. Błogosławieni ubodzy... e... e...

– Duchem...

– Duchem. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem... albowiem... oni...

– Ich...

– Albowiem ich... Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie...

Błogosławieni, którzy cierpią, albowiem... albowiem...

– Oni...

– Albowiem oni... oni...

– Bę...

– Albowiem oni bę... Nie wiem, jak dalej.

– Będą!

– Aha, będą! Albowiem będą... albowiem oni będą... e... e... będą cierpieć... e... e...

błogosławieni, którzy będą... albowiem oni... e... e... oni będą cierpieć... albowiem będą... e...

Ale co będą? Czemu mi nie podpowiadasz, Mary? Jesteś niedobra!

– Ej, głuptasie! Nie mam zamiaru ci dokuczać, ale musisz się jeszcze trochę pouczyć. Tylko śmiało, głowa do góry. Jestem pewna, że ci się uda. A wtedy... podaruję ci coś pięknego. Na pewno będzie ci się to podobało. No, a teraz do roboty.

– No, dobrze. Ale co to takiego? Powiedz, Mary!

– Cierpliwości. Wszystko w swoim czasie, ale jest to coś naprawdę wspaniałego.

– Dajesz słowo, Mary? W porządku, wkuwam od nowa.

I rzeczywiście zaczął kuć, a pod podwójnym naciskiem ciekawości i spodziewanej nagrody czynił to z takim zapałem, że osiągnął wspaniały sukces.

Mary podarowała mu wówczas nowiutki scyzoryk marki „Barlow”, wartości dwunastu i pół centa, a radość, jakiej Tomek doznał, wstrząsnęła podstawami jego jestestwa. Co prawda, ostrzem nic nie można było przekroić, ale był to przecież „oryginalny” „Barlow”, a to oznaczało coś wspaniałego. Jeżeli chłopcy z Zachodu twierdzili czasem, że wśród wyrobów marki „Barlow” znajduje się dużo podróbek, to mówili tak tylko po to, żeby znieśli taki scyzoryk i pozostanie to oszczerstwem na zawsze. Tomek od razu zdążył naciąć nim szafę i już zabierał się do biurka, kiedy zawołano go, aby przygotował się do pójścia do kościoła.

Mary naląła wody do blaszanej miednicy i dała mu kawałek mydła. Tomek wyszedł przed dom i postawił miednicę na małej ławeczce. Następnie zanurzył mydło w wodzie i odłożył je na bok, potem

podkasał rękawy, wylał po cichutku wodę na ziemię, wrócił do kuchni i zaczął starannie wycierać twarz ręcznikiem, wiszącym za drzwiami. Ale Mary odebrała mu ręcznik.

– Jak ci nie wstyd, Tomku? – powiedziała. – Taki brudas! Przecież woda cię nie ugryzie!

Tomek zawstydził się nieco. Mary znowu naląła wody do miednicy. Stał nad nią jakiś czas, zbierając się na odwagę. Wreszcie westchnął ciężko i – zaczął się myć naprawdę. Kiedy wrócił do kuchni i z zamkniętymi oczyma, po omacku, szukał ręcznika, woda i mydliny ściekające mu z twarzy, dawały chlubne świadectwo jego odwadze. Lecz kiedy wynurzył się z ręcznika, nie wyglądał jeszcze zadowolająco, bo miejsce wolne od brudu urywało się nagle tuż przy brodzie i koło uszu, tworząc rodzaj maski. Poza tą linią, od czoła aż po szyję, rozciągały się olbrzymie przestrzenie czarnej, nie nawodnionej gleby. Mary wzięła go zatem sama w obroty, a gdy skończyła, Tomek wyglądał jak człowiek i chrześcijanin o jednolitym kolorze skóry. Mokra włosy Tomka starannie uczesano szczotką, a krótkie kędziorki ułożono symetrycznie i wytwornie. (Gdy nikt nie widział, Tomek usiłował z wielkim trudem, lecz znikomym rezultatem, wyprostować je i przylepić do głowy; loki te były w ogóle jego ciężkim zmartwieniem, gdyż uważał je za coś stanowczo niemęskiego). Potem Mary wyjęła z szafy ubranie, które Tomek od dwóch lat mógł nosić tylko w niedziele – nazywało się ono po prostu „drugim ubraniem”, co pozwala określić stopień zamożności jego garderoby. Gdy się ubrał, Mary doprowadziła do porządku jego toaletę: zapięła mu bluzę, obciągnęła i wygładziła na plecach wielki kołnierz marynarski, oczyściła Tomka szczotką z wszelkich pyłków i włożyła mu na głowę słomkowy kapelusz w kropki. Wyglądał teraz bardzo cywilizowanie, ale czuł się nieszczególnie. Zawsze, gdy był umyty i porządnie ubrany, dostawał gęsiejszej skórki. Miał nadzieję, że Mary zapomni przynajmniej o bucikach – ale gdzie tam! I to zawiodło. Przyniosła je, wysmarowawszy poprzednio jak zwykle łojem. Tomek stracił cierpliwość i oświadczył, że ciągle zmusza się go do robienia tego, czego nie lubi. Mary musiała przemówić mu do sumienia:

– Ależ, Tomku, czy tak postępuje grzeszny chłopiec?

Mrucząc coś pod nosem, włożył buciki. Mary ubrała się szybko i cała trójka udała się do kościoła, miejsca, którego Tomek nie cierpiał z całej duszy. Co innego Mary i Sid – dla nich była to sama rozkosz.

Szkółka niedzielna trwała od dziewiętej do wpół do jedenastej, dalej następowało nabożeństwo. Dwoje z tej trójki zostawało potem z własnej woli na kazaniu, trzeci też zostawał – ale z innych, ważniejszych powodów.

Twarde ławki kościelne z wysokim oparciem, mogły pomieścić około trzystu osób. Budynek był mały i skromny. Wznosiło się nad nim coś jakby pudło zbite z sosnowych desek, wyobrażające dzwonnice. Przy drzwiach Tomek zwolnił kroku i zaczepił kolegę, również odświętnie ubranego:

– Słuchaj, Bill, masz żółtą kartkę?

– Tak.

– Co chcesz za nią?

– A co dasz?

– Cukierek i haczyk do wędki.

– Pokaż.

Tomek pokazał. Towar był dobry i chłopcy dobili targu. Potem Tomek zamienił dwie białe szklane kulki na trzy czerwone kartki i inne drobiazgi za dwie niebieskie. Czatował na chłopców wchodzących do kościoła i przez kwadrans skupował w ten sposób kartki w różnych kolorach. Wreszcie wkroczył do kościoła z gromadą schludnie wyglądających, ale wrzaskliwych chłopców i dziewcząt. Usiadł w ławce i od razu zaczął awanturę z pierwszym chłopcem, który nawinął mu się pod rękę. Nauczyciel, poważny pan w starszym wieku, musiał ich uspokoić, ale ledwie się odwrócił, Tomek pociągnął za włosy chłopca, siedzącego przed nim. Chłopiec obejrzał się, lecz Tomek siedział już niewinnie zatopiony w swojej książce. Potem, chcąc usłyszeć głośnie „au!”, ukłął innego chłopca szpilką i dostał drugie upomnienie od nauczyciela. W ogóle cała klasa Tomka była wzorowa: hałaśliwa, oporna i nieznośna. Gdy przyszło do wygłaszania wersetów z Biblii, żaden nie umiał ich dokładnie

i wszystkim trzeba było podpowiadać. Wreszcie każdy jakoś wyjął swoje i dostał w nagrodę małą niebieską karteczkę z cytatem z Pisma Świętego. Była to zapłata za wyrecytowanie dwóch wersetów. Dziesięć niebieskich kartek stanowiło równowartość jednej czerwonej i mogło być na nią wymienione; dziesięć czerwonych równało się jednej żółtej, a za dziesięć żółtych dostawało się od dyrektora skromnie oprawioną Biblię (która w owych dawnych, dobrych czasach kosztowała czternaście centów). Ilu z moich czytelników zdobyłoby się na tyle pilności i poświęcenia, żeby wyuczyć się na pamięć dwóch tysięcy wierszy, gdyby nawet mieli za to dostać Biblię z ilustracjami Dorègo? A jednak Mary zdobyła tą drogą dwie Biblie, owoc wytrwałej pracy dwóch lat, a pewien chłopak z niemieckiej rodziny zagarnął ich aż cztery czy pięć. Raz wyrecytował on jednym tchem, bez zająknięcia, trzy tysiące wersetów. Ale niestety, mózg jego nie wytrzymał takiego obciążenia i od tego dnia prawie zupełnie zidiociał. Ciężki to był cios dla niedzielnej szkółki, bo dyrektor bardzo lubił popisywać się tym chłopcem wobec ważnych gości – taka była przynajmniej opinia Tomka. Tylko ustatkowani chłopcy zdobywali się na przechowywanie karteczek i wytrwale wbijali sobie w głowę wersety tak długo, póki nie zasłużyli na Biblię. Nic więc dziwnego, że wręczenie takiej nagrody było rzadkim i pamiętnym wydarzeniem. Zwyczajca stawał się bohaterem dnia i wówczas w sercach wszystkich chłopców zapalał się święty ogień ambicji, który nieraz gasł dopiero po kilku tygodniach. Jest rzeczą prawie pewną, że Tomek nigdy nie pragnął samej nagrody, ale nie ulega wątpliwości, że jego serce rwało się do sławy i blasku nagrodzonego szczęśliwca.

Dyrektor stanął przed amboną z zamkniętym psalterzem w ręce. Odpowiednie kartki założył palcem wskazującym. Wezwał dzieci do uwagi. Kiedy dyrektor szkółki niedzielnej wygłasza swoją zwykłą, krótką naukę, psalterz jest w jego ręku tak niezbędny, jak nuty w ręku śpiewaka, który występuje solo na estradzie. Dlaczego tak jest, pozostaje wieczną tajemnicą, bo obaj ci męczennicy nigdy nie zagląдают ani do psalterza, ani do nut.

Dyrektor był szczupłym, trzydziestoparoletnim mężczyzną, z ryżą kozią bródką i krótkimi rudymi włosami. Nosił sztywny, stojący kołnierzyk, którego brzeg sięgał mu aż do uszu, a ostre, wygięte końce niemal wbijały się w kąciki ust. Był to rodzaj parkanu, który zawsze zmuszał go do patrzenia tylko prosto przed siebie i do obracania się całym ciałem, gdy chciał spojrzeć w bok. Brodę podpierał rozłożysty krawat, dorównujący swoją wielkością średnich rozmiarów serwecie, z frędzlami na końcu. Noski jego butów były – według ówczesnej mody – wygięte w górę, na kształt nart. (Młodzi eleganci, aby dojść do takich wyników, z samozaparciem całymi godzinami przyciskali końce butów do ściany). Pan Walters był człowiekiem dobrodusznym i szczerym, choć zawsze miał niezwykle poważną minę. Do spraw i miejsc świętych odnosił się z takim szacunkiem i tak dalece oddzielał je od życia powszedniego, że w niedzielę mimo woli głos jego przybierał zupełnie odświętną intonację. Zaczął w te słowa:

– A teraz, moje dzieci, usiądźcie sobie prościutko i grzecznie, i posłuchajcie mnie spokojnie przez chwilę. Tak, doskonale. Tak powinni zawsze zachowywać się grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki. Ale tam jedna dziewczynka wygląda przez okno. Pewnie jej się wydaje, że widzi mnie gdzieś za oknem – siedzę sobie na drzewie i wygłaszam kazanie dla ptaszków. (Pełen uznania śmiech dzieci). Chcę wam powiedzieć, że bardzo się cieszę, widząc tyle czystych i niewinnych twarzyczek, które zebrały się w tym świętym miejscu, aby uczyć się czynić dobrze i żyć cnotliwie.

I tak dalej, i tak dalej. Nie trzeba tu powtarzać dalszego ciągu kazania. Było bowiem w stylu, który nigdy się nie zmienia – znamy go więc bardzo dobrze.

Ostatnia część przemówienia została zakłócona przez kilku niegrzecznych chłopców, którzy wznowili przeciwko innym kroki nieprzyjacielskie oraz przez ogólne szepty i wiercenie się publiczności. Atmosferze rozprężenia uległy nawet takie niewzruszone skały, jak Sid i Mary. Ale gdy głos pana Waltersa zaczął tracić na sile, ucichły nagle wszelkie szmery i koniec kazania został przyjęty z niemą wdzięcznością.

Znaczną część szeptów wywołało dość niezwykle zdarzenie. Weszli goście: adwokat Thatcher pojawił się w towarzystwie jakiegoś mizernego staruszka oraz przystojnego i postawnego mężczyzny

w średnim wieku, o włosach lekko przyprószonych siwizną, a także okazałej matrony, która była niewątpliwie żoną tego ostatniego. Dama ta prowadziła za rękę dziewczynkę.

Tomek aż do tej chwili był niespokojny, dręczyła go rozterka wewnętrzna i gryzły wyrzuty sumienia. Nie mógł spojrzeć w oczy Amy Lawrence, nie mógł znieść jej rozkochanych spojrzeń. Ale gdy zobaczył nowo przybyłą dziewczynkę, dusza jego od razu zapłonęła szczęściem. Natychmiast zaczął swoje popisy: poszturchiwał chłopców, targał ich za włosy, wykrzywił się – jednym słowem, używał wszystkich sposobów, które wydały mu się odpowiednie, aby oczarować jasnowłosą boginkę i zdobyć jej uznanie. Jedno tylko ziarenko goryczy zatruwało mu radość: wspomnienie haniebnego poniżenia w ogrodzie swojego anioła. Ale fale szczęścia szybko zmyły to ziarenko.

Gości posadzono na honorowych miejscach, a pan Walters zaraz po zakończeniu przemówienia przedstawił ich dzieciom. Mężczyzna w średnim wieku okazał się niezwykłą osobistością. Był ni mniej ni więcej, tylko sędzią okręgowym – a więc najdostojniejszą istotą, jaką dzieci oglądały w swym życiu. Zastanawiały się, jaki on jest. Były ciekawe, czy potrafi ryczeć strasznym głosem, to znów bały się, że naprawdę zacznie ryczeć. Przybył z Nowego Konstantynopola, oddalonego o dwanaście kilometrów od miasteczka, wiele więc podróżował i znał świat. Oczy jego widziały budynek sądu okręgowego, o którym chodziły słuchy, że ma dach kryty blachą! Podziw i szacunek, jakie budziły te myśli, znalazły wyraz w milczeniu i spojrzeniach wlepionych w sędziego. A więc to był wielki sędzia Thatcher, brat miejscowego adwokata! Jeff Thatcher wystąpił naprzód, aby pokazać wszystkim w jakiej zażyłości pozostaje z wielkim mężem i – by stać się przedmiotem zazdrości całej klasy. Muzyką dla jego duszy były szepty kolegów:

– Patrz, Jim! Idzie do niego! Patrz, podaje mu rękę, naprawdę się z nim wita! Na rany kota! Chciałbym być teraz na miejscu Jeffa!

Pan Walters zaczął się „popisywać”. Krzątał się jak mrówka, z przesadną ważnością wykonywał różne niby urzędowe czynności, wydawał polecenia, krytykował – usiłował być wszędzie naraz. Kościelny też się „popisywał” – biegał tam i z powrotem z pełnym naręczem książek, trząsał nimi i hałasował. Młode nauczycielki „popisywały się”, pochylając się ze słodkim uśmiechem nad swoimi wychowankami, których jeszcze niedawno targały za uszy. Z wdziękiem podnosiły wskazujący palec do góry, by pogrozić niegrzecznym chłopcykom, a z rozczuleniem głąskały grzeczne dzieci. Młodzi nauczyciele „popisywali się”, udzielając delikatnych upomnień i składając inne dowody powagi i skrupulatnej troski o dyscyplinę. Większość zaś nauczycieli obojga płci krzątała się koło szaf z książkami tuż przy ambonie; ciągle tam było coś do zrobienia i poprawienia – ku widocznemu ich utrapieniu. Dziewczynki „popisywały się”, jak która umiała, a chłopcy „popisywali się” z takim zapałem, że w kościele aż pociemniało od latających papierowych kul i kurzu, jaki wzbijał się nad walczącymi. A ponad tym wszystkim siedział wielki mąż, rozjaśniał cały kościół swym majestatycznym sędziowskim uśmiechem i grał się w słońcu własnej wielkości – bo i on „popisywał się” również.

Jednego tylko brakowało, by uczynić pana Waltersa bezgranicznie szczęśliwym: możliwości wręczenia Biblii i okazania światu i gościom cudownego dziecka. Wprawdzie wielu uczniów miało po kilka żółtych karteczek, ale żaden nie posiadał ich tyle, ile trzeba. Posyłał pytające spojrzenia w stronę prymasów i byłby teraz oddał nie wiadomo co, byle mieć pod ręką owego chłopca, Niemca – ale ze zdrową głową.

I właśnie w chwili, gdy już wszelka nadzieja umarła, wystąpił Tomek Sawyer ze swoimi kartkami: dziewięć żółtych, dziewięć czerwonych i dziesięć niebieskich... i zażądał Biblii!! Był to piorun z jasnego nieba. Na zgłoszenie się Tomka pan Walters nie liczył nawet w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ale nie można było zamknąć oczu na oczywisty fakt – oto leżały przed nim kartki, które sam wydawał, i ilość punktów zgadzała się co do joty. Tomek został dopuszczony do honorowego miejsca pana sędziego okręgowego i innych wybrańców losu, a wielką nowinę podano do wiadomości publicznej. Było to stanowczo najbardziej zdumiewające wydarzenie ostatnich piętnastu lat. Wrażenie było tak potężne, że w oczach publiczności nowy bohater wzniósł się na wyżyny sędziowskie, i szkoła

podziwiała teraz, nie jedno, ale dwa bóstwa. Zazdrość pożerała chłopców, jednak najstraszniejsze męczarnie cierpieli w tej chwili ci, którzy za późno zrozumieli, że sami przyczynili się do zdobycia przez Tomka dzisiejszej sławy. Przehandlowali swoje kartki za drobiazgi, które zdobył, sprzedając za nie prawo do bielenia parkanu. Czuli pogardę dla samych siebie, widząc jak padli ofiarą tego podstępnego oszusta i chytrego węża.

Wręczenie nagrody Tomkowi odbyło się z taką wylewną czułością, na jaką tylko dyrektor mógł się w takich warunkach zdobyć. Serdecznościom brakowało jednak właściwej siły, bo instynkt mówił dyrektorowi, że w tym wszystkim tkwi jakaś mroczna tajemnica. Było coś wprost przeciwnego zdrowemu rozsądkowi, by ten właśnie chłopiec mógł nagromadzić w swym spichrzu duchowym dwa tysiące ziaren biblijnej mądrości – bo już tuzin zaledwie byłby niewątpliwie nadwerżył jego rozum.

Amy Lawrence była dumna i szczęśliwa. Chciała to dać Tomkowi do zrozumienia już samym wyrazem twarzy, ale on na nią nie patrzył. Najpierw lekko się zdziwiła, potem zaniepokoiła, w końcu przyszło mgliste podejrzenie, zniknęło i znowu powróciło. Zaczęła pilnie obserwować zachowanie Tomka – jedno ukradkowe spojrzenie powiedziało jej wszystko i wówczas serce jej pękło. Ogarnęła ją zazdrość i gniew, z oczu popłynęły łzy; poczuła nienawiść do całego świata, a przede wszystkim, jak jej się zdawało, do Tomka.

Tomek został przedstawiony panu sędziemu, ale język stanął mu kołkiem. Brakowało mu oddechu, a serce trzęsło się w piersi jak galareta – trochę z powodu przerażającej wielkości tego męża, przede wszystkim jednak dlatego, że to był jej ojciec. Gdyby było ciemno, najchętniej upadłby przed nim na kolana i zaczął się modlić do niego. Sędzia położył rękę na głowie Tomka, nazwał go dzielnym chłopakiem i zapytał, jak się nazywa. Chłopiec zająknął się, nie mógł złapać oddechu, wreszcie wykrztusił:

– Tomek.

– Ależ nie, nie Tomek, tylko...

– Tomasz.

– No widzisz. Ale zdaje mi się, że jeszcze czegoś brakuje. Tomasz to bardzo ładnie, ale myślę, że masz jeszcze nazwisko, powiedz mi je.

– Powiedz panu swoje nazwisko, Tomaszu – wtrącił pan Walters – i mów: panie sędzio. Nie należy zapominać o dobrym wychowaniu.

– Tomasz Sawyer, panie sędzio.

– No właśnie! Grzeczny, dzielny chłopiec. Wspaniały chłopiec! Dwa tysiące wierszy to dużo, bardzo dużo. Mój chłopcze, nigdy nie pożałujesz trudu poświęconego nauczeniu się ich, bo wiedza ma wartość większą od wszystkiego innego na świecie. To ona czyni ludzi wielkimi i dobrymi. Ty, Tomasz, też zostaniesz kiedyś wielkim i dobrym człowiekiem, a wówczas powiesz sobie: „To wszystko zawdzięczam temu, że w dzieciństwie miałem wielkie szczęście uczyć się w szkółce niedzielnej. To wszystko zawdzięczam moim wspaniałym nauczycielom, którzy nauczyli mnie pracować, to wszystko zawdzięczam drogiemu panu dyrektorowi, który dodawał mi otuchy, czuwał nade mną i dał mi tę piękną Biblię, aby mi towarzyszyła przez całe życie. To wszystko zawdzięczam dobremu wychowaniu”. Tak będziesz kiedyś mówił, Tomasz, i za żadne skarby nie będziesz chciał oddać tych dwóch tysięcy wierszy. A może teraz powiesz mi i tej pani coś z tych pięknych rzeczy, których się nauczyłeś? Prawda? Bo my jesteśmy dumni z chłopców, którzy się dobrze uczą. Na pewno znasz imiona dwunastu apostołów. Może wymienisz nam tych dwóch, którzy najpierw zostali wybrani?

Tomek kręcił guzik u bluzy i patrzył baranym wzrokiem. Zaczerwienił się i spuścił oczy. Panu Waltersowi zrobiło się słabo. Mówił sobie, że to jest przecież niemożliwe, aby ten chłopiec mógł odpowiedzieć choćby na najprostsze pytanie. Że też sędziemu musiała teraz przyjść ochota na przepytywanie z Biblii. Czuł się jednak w obowiązku coś powiedzieć.

– Odpowiedz panu sędziemu, Tomaszu – powiedział. – Nie bój się!

Tomek milczał uparcie.

- Ale mnie na pewno powiesz – odezwała się pani. – Pierwszymi apostołami byli, no...
 - Dawid i Goliat!
- Spuśćmy zasłonę miłosierdzia na koniec tej sceny.

Rozdział V

Około wpół do jedenastej zadzwonił pęknięty dzwon kościelny i niebawem ludzie zaczęli schodzić się na przedpołudniowe kazanie. Dzieci ze szkółki niedzielnej rozproszyły się po całym kościele i zajęły miejsca w ławkach obok rodziców, by być pod nadzorem. Przyszła też ciotka Polly. Tomek, Sid i Mary usiedli przy niej. Tomka posadzono po stronie nawy, aby w miarę możliwości był jak najdalej od otwartego okna i wszystkich rozpraszających widoków za oknem.

Tłum wypełnił wnętrze kościoła: sędziwy i mizerny poczmistrz, który pamiętał lepsze czasy; burmistrz z żoną – bo miasto posiadało, obok innych niepotrzebnych rzeczy, także i burmistrza; sędzia pokoju; wdowa Douglas, przystojna, elegancka, szczupła, szczerą, dobra i zamożna osoba (do niej należała jedyna willa w mieście) – bardzo gościnna i znana z najwystawniejszych przyjęć, jakimi St. Petersburg mógł się poszczycić; pochylony wiekiem, otoczony powszechnym szacunkiem major Ward z żoną; adwokat Riverson – świeżo przybyła ze świata znakomitość; potem jakaś miejscowa piękność, za którą tłoczyła się cała gromada młodych, wystrojonych pogromców serc; następnie weszli wszyscy młodzi urzędnicy miejscy, którzy tak długo stali w przedsionku, tworząc zbite półkole wypomadowanych i wzdychających wielbicieli, dopóki ostatnia, wchodząca do kościoła dziewczyna, nie przeszła przez ogień ich spojrzeń; na koniec zjawił się wzór chłopców, Willie Mufferson, który prowadził matkę pod rękę z taką przesadną troskliwością, jakby była ze szkła. Zawsze prowadził matkę do kościoła i był przedmiotem podziwu wszystkich starszych pań. Chłopcy nie cierpieli go właśnie dlatego, że ciągle stawiano im go za wzór. Biała chusteczka do nosa zwisała mu, według niedzielnej mody, z tylnej kieszeni – niby to przypadkiem. Tomek nie miał chusteczki do nosa i chłopcy, którzy jej używali uważał za maminsynków.

Kiedy zebrali się już wszyscy wierni, dzwon odezwał się jeszcze raz, aby przynaglić do pośpiechu ostatnich spóźnialskich, po czym w kościele zapanowała uroczysta cisza, którą mąciły tylko chichoty i szepty na chórze. Chór zawsze szeptał i chichotał przez cały czas nabożeństwa.

Pastor zapowiedział hymn, a następnie odczytał go z uczuciem, nadając swemu głosowi osobliwą intonację, podziwianą w całej okolicy. Zaczynał dość cicho, potem podnosił głos coraz bardziej, aż osiągnąwszy punkt kulminacyjny, potężnie akcentował ostatnie słowo i dawał nura w dół jak z trampoliny.

Czy możesz wynieść mnie do siebie,/ wśród kwiatów wieczny Panie ,/ Gdy
trzeba zdobyć chwałę w niebie / wśród walk, w krwi oceanie?

Uchodził za świetnego lektora. Na wszystkich zebraniach kościelnych proszono go o czytanie wierszy. Za każdym razem, gdy skończył, panie podnosiły ręce do góry i opuszczały je bezwładnie na kolana, przewracały oczami i potrząsały głowami, co miało znaczyć: „To było tak piękne, że nie da się tego wyrazić słowami”.

Po odśpiewaniu hymnu wielbny pastor Sprague zamieniał się w żywą tablicę ogłoszeń i czytał tak przeraźliwie długą listę komunikatów o zebraniach, posiedzeniach i innych sprawach, że miało się wrażenie, iż się przed Sądem Ostatecznym nie skończy. Potem pastor przystąpił do modlitwy. Była to piękna, szlachetna modlitwa i bardzo szczegółowa. Wznoszono modły za Kościół i dzieci Kościoła, za inne Kościoły w miasteczku, za samo miasteczko, za cały okręg, za Stany Zjednoczone, za urzędników stanu, za Kongres, za prezydenta, za ministrów, za żeglarzy na morzu, za ludzi na Wschodzie, za pogan na dalekich wyspach wśród oceanów – a kończono błaganiem, by słowa, które pastor wypowie, zostały wysłuchane, by stały się ziarnem, które padło na urodzajny grunt i przyniosło bogaty plon wszelakiego dobra. Amen.

Zaszeleściły suknie i wszyscy usiedli.

Chłopiec, którego przygody opisuje ta książka, nie przejmował się modlitwą, zaledwie ją znosił, a i tak jeszcze buntował się przeciwko słuchaniu. Jakieś fragmenty modlitwy docierały jednak

do niego, mimo że nie uważał. Od dawna znał całą powtarzającą się treść, więc ilekroć pastor pozwolił sobie na dodanie do modlitwy choćby jednego nowego słowa, ucho Tomka natychmiast wychwytywało tę nieprawidłowość i wszystko w chłopcu burzyło się przeciwko takiemu skandalowi. Wszelkie nadprogramowe dodatki uważał po prostu za bezczelne oszustwo.

W połowie kazania mucha usiadła na oparciu ławki przed Tomkiem i zaczęła się z nim drażnić. Tarła jedną nóżkę o drugą, obejmowała głowę łapkami i tarła tak gwałtownie, jakby chciała oderwać ją od tułowia. Potem tylnymi nóżkami wycierała skrzydełka i przyciskała je do siebie niczym płaszcz. Całą tę toaletę wykonywała tak spokojnie, jakby wiedziała, że jest całkowicie bezpieczna. I istotnie była, bo choć Tomka strasznie korciło, żeby ją schwytać, nie śmiał jednak tego uczynić w trakcie modlitwy; był pewny, że za taki zuchwały czyn jego dusza zostałaby potępiona na wieki. Ale już pod koniec dłoń jego zaczęła skradać się w stronę oparcia; przy słowie „Amen” mucha padła łupem wojennym. Ciotka odkryła jednak ten występek i kazała wypuścić ją na wolność.

Pastor zapowiedział temat kazania i zaczął głądzić w sposób tak beznadziejnie nudny, że głowy słuchaczy jedna po drugiej poczęły się kiwać. Jego wywody z taką hojnością szafowały wiecznym ogniem i siarką, że liczbę kandydatów do nieba zredukowały do maleńkiej garstki – szkoda było nawet zachodu koło ich zbawienia.

Tomek liczył strony kazania. Po nabożeństwie zawsze wiedział ile było kartek kazania, ale o jego treści nie miał zielonego pojęcia. Dzisiaj jednak naprawdę zainteresował się na chwilę. Otóż pastor nakreślił majestatyczny i wzruszający obraz zastępów ludzi całego świata zebranych wspólnie na łonie królestwa bożego na ziemi, kiedy to lew i jagnię będą leżały obok siebie w pokoju, a małe dziecko będzie nimi rządzić. Moralna i pouczająca wzniosłość tego widowiska nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Natomiast poruszyła go świetność roli głównego bohatera – dziecka – na którego miały z podziwem patrzeć wszystkie narody. To wyobrażenie rozpromieniło Tomkowi twarz i obudziło w nim życzenie, by być owym dzieckiem, oczywiście pod warunkiem, że lew będzie naprawdę oswojony.

Potem znowu zaczęła się męka, gdyż pastor powrócił do nudnych tematów. Nagle Tomek przypomniał sobie o skarbie, który miał w kieszeni i wyjął go. Był to duży czarny chrząszcz z potężnymi szczypcami, ochrzczony przez niego „szczypawką”. Za mieszkanie służyło mu pudełko od zapalek. Zaraz na początku chrząszcz ugryzł Tomka w palec. Chłopak trzepnął ręką i chrząszcz upadł na podłogę, na środek kościoła, brzuchem do góry. Owad leżał, przebierając rozpaczliwie nóżkami, nie mogąc się obrócić. Tomek widział go doskonale i próbował dosięgnąć ręką, ale na szczęście dla chrząszcza, był za daleko. Dla innych wiernych chrześcijan, tak samo zainteresowanych kazaniem jak Tomek, chrząszcz był bardzo pożądaną rozrywką.

Wtem do kościoła wszedł zabłąkany znudzony pudel. Rozleniwiony ciszą i spokojem letniego dnia, uszczęśliwiony swobodą, szukał przygód. Wytropił chrząszcza, podniósł ogon do góry i zaczął nim merdać. Przyjrzał się zdobyczy, okrążył ją, obwąchał z bezpiecznej odległości, okrążył raz jeszcze, zebrał się na odwagę, obwąchał z bliska, wreszcie wyszczerzył zęby, zamierzył się ostrożnie i kłapnął paszczą. Chybił. Ponownie spróbował schwytać chrząszcza i – naraz zaczęło go to bawić. Położył się na brzuchu, wziął owada między łapy i dalej z nim eksperymentował. Wreszcie znudził się, zubożętniał, uleciał duchem gdzie indziej. Głowa zaczęła mu się sennie kiwać, morda zniżała coraz bardziej, aż w końcu dotknęła wroga, który chwycił ją kurczowo swoimi szczypcami. Rozległ się krótki skowyt, pudel otrząsnął się energicznie, chrząszcz odleciał na kilka kroków i znowu upadł na grzbiet. Najbliżsi widzowie trzęśli się od tłumionego śmiechu, niejedna twarz ukryła się za wachlarzem lub chustką do nosa, a Tomek był w siódmym niebie. Pies miał bardzo niemądrą minę – na pewno czuł się głupio. Obudziła się w nim mściwość i zapragnął odwetu. Podkraść się do chrząszcza i ostrożnie zaatakował. Dostakiwał ze wszystkich stron, padał przed nim na przednie łapy, kłapał zębami coraz bliżej, potrząsał głową, aż mu uszy latały. Lecz po jakimś czasie zabawa znowu mu się znudziła. Spróbował zapolować na muchę, jednak nie przyniosło mu to zadowolenia. Puścił się w pogoń za mrówką, z nosem tuż przy podłodze, ale i to go prędko zniechęciło. Ziewnął,

westchnął, zupełnie zapomniał o chrząszczu i... usiadł na nim. Przerażliwy jęk bólu – i pudel zaczął szaleńczo galopować po kościele. Ze skowytem przeleciał przed ołtarzem, wpadł w boczną nawę i gnał dalej w poszukiwaniu wyjścia. Gonitwa potęgowała jeszcze jego rozpacz. Raz po raz mijał drzwi, gnając przed siebie na oślep. Wykonawszy w szalonym pędzie kilka okrążeń wokół kościoła, nieszczęsny męczennik w ostatecznej rozpaczycy skoczył na kolana swemu panu, który wyrzucił go przez okno. Odgłosy psiej niedoli były coraz słabsze, aż wreszcie ucichły gdzieś w oddali.

Przez cały ten czas wszyscy w kościele mieli czerwone twarze i krztusili się od śmiechu, kazanie zaś ugrzęzło w martwym punkcie. Teraz zostało podjęte na nowo, lecz wyraźnie kulało – słuchacze nie byli już zdolni do głębszych wzruszeń, a najbardziej nawet wzniosłe słowa pastora spotykały się ciągle z tłumionymi wybuchami bezbożnej wesołości i chowaniem się pod ławki, jakby biedny pastor opowiadał jakieś doskonałe dowcipy.

Tomek Sawyer wracał do domu w świetnym humorze. Uważał, że nabożeństwo może dać człowiekowi sporo zadowolenia, gdy się je nieco urozmaici. Jedno go tylko martwiło: nie miał nic przeciwko temu, żeby pies pobawił się jego „szczypawką”, ale nie było to z jego strony w porządku, że mu ją zabrał.

Rozdział VI

W poniedziałek rano Tomek był w kiepskim nastroju. Zawsze tak było, kiedy rozpoczynał się nowy, przeraźliwie długi tydzień szkolnej udręki. Tomek wzdychał, że byłoby lepiej, gdyby niedzieli nie było w ogóle, bo wtedy łatwiej można by się przyzwyczać do niewoli.

Leżał w łóżku i rozmyślał. Nagle przyszło mu do głowy, żeby udać chorego i nie pójść do szkoły. Zaświtała mu słaba nadzieja. Poddał swój organizm gruntownym oględzinom. Nie odkrył jednak żadnych dolegliwości, wobec czego zbadał się jeszcze raz. Przez chwilę wydawało mu się, że odkrył objawy kolki i dodało mu to znacznej otuchy. Niestety objawy szybko osłabły i w końcu zupełnie przepadły. Szukał dalej. Nagle coś odkrył. Jeden z górnych przednich zębów wyraźnie się chwia. Wspaniale! Już miał zacząć jęczeć, gdy przyszło mu na myśl, że jeżeli stanie z tym argumentem przed trybunałem domowym, ciotka zaraz wyrwie mu ząb, a to będzie bolało. Postanowił więc trzymać sprawę zęba w rezerwie i szukać dalej. Przez jakiś czas nic nie przychodziło mu do głowy; naraz przypomniał sobie, jak lekarz opowiadał o pewnej chorobie, przez którą ktoś musiał dwa czy trzy tygodnie leżeć w łóżku i o mało co palca nie stracił. Czym prędzej wysunął spod kołdry skaleczony palec u nogi i obejrzał go dokładnie. Nie miał wprowadzić pojęcia, jakie powinny być objawy tej choroby, ale w każdym razie warto było spróbować. Zabrał się więc z zapalem do jęczenia.

Sid spał jak zabity.

Tomek jęczał coraz głośniej i zdawało mu się, że palec naprawdę zaczyna go boleć.

Sid ani drgnął.

Tomek aż się zasapał z wysiłku. Odpoczął więc trochę, a potem wciągnął w płuca potężny haust powietrza i wydał całą gamę cudownych jęków.

Sid dalej chrapał w najlepsze.

Tomka ogarnął gniew. Zawołał: – Sid! Sid! – i potrząsnął nim mocno. Ten sposób okazał się skuteczniejszy. Tomek natychmiast wydał nową serię rozpaczliwych jęków. Sid ziewnął, przeciągnął się, chrapał jeszcze raz, po czym podniósł się na łokciu i wybałuszył oczy na Tomka. Ten jęczał dalej.

– Tomek! Tomek! – zawołał Sid.

Nie ma odpowiedzi.

– Tomek, co ci jest? Tomek!

Sid potrząsnął bratem i z przerażeniem patrzył mu w twarz.

– Och, Sid, przestań, nie szarp mnie... – jęknął wreszcie Tomek.

– Co ci się stało? Trzeba zawołać ciocię!

– Nie, daj spokój. Może samo przejdzie... Nie wołaj nikogo...

– Muszę zawołać! Nie jęcz tak, Tomku, to straszne. Długo tak się męczysz?

– Kilka godzin. Au! Nie ruszaj mnie, Sid. Umieram...

– Dlaczego wcześniej mnie nie obudziłeś? Tomek, proszę cię, przestań, bo aż mi skóra cierpie. Powiedz, co ci jest?

– Sid, przebaczam ci wszystko. (Jęk). Wszystko, co zrobiłeś mi złego. (Jęk). Gdy mnie już nie będzie...

– Tomek, nie umieraj! Błagam cię, nie umieraj! Może...

– Wszystkim przebaczam. (Jęk). Powiedz im to, Sid. A moją ramę okienną i kota z jednym okiem daj tej dziewczynce, która niedawno przyjechała do naszego miasta, i powiedz jej...

Ale Sid porwał już ubranie i wypadł z pokoju. Tomek cierpiał teraz naprawdę, bo jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Jęki dźwięczały szczerym bólem.

Sid pędził po schodach na dół i wrzeszczał:

– Ciociu! Ciociu!! Tomek umiera!!!

– Umiera?

- Tak! Chodź prędko!
- Bzdura! Nie wierzę...

Ale mimo to pobiegła na górę, a Sid i Mary za nią. Twarz jej zbladła, usta drżały. Przypadłszy do łóżka, wyszeptwała niemal bez tchu:

- Tomku, na miłość Boską, co ci jest?
- Ach, ciociu, jestem...
- Dziecko, co z tobą?!
- Ach, ciociu, mój skaleczony palec... zmartwił zupełnie!

Ciotka padła na krzesło, najpierw zaczęła się śmiać, potem zaczęła płakać, a potem śmiała się i płakała jednocześnie. W końcu przyszła nieco do siebie.

- Oj, Tomku, ale mi stracha napędziłeś! Ale teraz dosyć tych głupstw. Wyłaż z łóżka!
- Jęki Tomka od razu ustały, a i palec przestał boleć. Było mu trochę głupio.

– Ciociu – powiedział – on naprawdę tak dziwnie mi zmartwił i tak mnie bolał, że nawet zapomniałem o zębie...

- O zębie? O jakim zębie?
- Jeden mi się rusza i boli okropnie.

– No, no, tylko nie zacznij znowu jęczeć. Otwórz buzię. Tak, ząb rzeczywiście się chwieje, ale od tego nie umrzesz. Mary, daj mi kawałek jedwabnej nitki i przynieś zapalone polano z pieca w kuchni.

– Wiesz, ciociu, już mnie wcale nie boli! Słowo daję! Nie trzeba go wrywać. Ciociu, błagam! ... Chcę iść do szkoły!!

– Naprawdę? Co ty mówisz? Więc po to była ta cała komedia, bo chciałeś wykręcić się od szkoły i iść na ryby? Ach, Tomku, Tomku, ja cię tak kocham, a ty do grobu chcesz mnie wpędzić swoimi wybrykami.

Tymczasem pojawiły się instrumenty dentystryczne. Ciotka Polly mocno obwiązała chory ząb nitką, a jej drugi, wolny koniec przymocowała do łóżka. Potem chwyciła płonące polano i nagle zamachnęła się nim tuż przed nosem Tomka. Tomek szarpnął głową do tyłu, a ząb zawisł u krawędzi łóżka.

Powiedziane jest, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdy Tomek po śniadaniu szedł do szkoły, był przedmiotem zazdrości każdego chłopca, którego spotkał, bo szczerba w górnym rzędzie zębów umożliwiała mu spluwanie w nowy, niezwykły i podziwu godny sposób. Szedł za nim cały orszak chłopców, mocno zainteresowanych jego wynalazkiem. Pewien chłopak, który miał ucięty palec i do tego momentu olśniewał wszystkich, będąc otoczony powszechnymi hołdami, stracił nagle zwolenników i aureolę sławy. Mocno przygnębiony takim obrotem sprawy, oświadczył z udaną pogardą, że to całe spluwanie Tomka to żadna sztuka. Ale inny chłopak powiedział mu na to: „Spróbuj sam, mądralo!” i bohater, strącony z piedestału, odszedł jak niepyszny.

Chwilę później Tomek spotkał młodego włóczęgę Huckleberry'ego Finna, syna miejscowego pijaka. Wszystkie matki serdecznie go nie cierpiały i bały się jak ognia, gdyż był to próżniak, ulicznik i ordynus oraz dlatego, że był przedmiotem uwielbienia ich własnych dzieci, które znajdowały niezwykłą przyjemność w jego towarzystwie i z całej duszy pragnęły go naśladować. Podobnie jak inni synowie porządnych rodziców, Tomek także zazdrościł Huckowi jego wspaniałego, barwnego życia włóczęgi i miał surowy zakaz bawienia się z nim. Bawił się więc z nim, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność.

Huck ubierał się w stare ubrania ludzi dorosłych, które zaplamione i postrzępione, wisały na nim w artystycznym nieładzie. Kapelusz Hucka był bezkształtną ruiną, a naderwany kawałek runda zwisał jak półksiężyc. Marynarka – jeżeli w ogóle miał ją na sobie – sięgała mu do pięt, a wyrzuczone na siedzeniu spodnie z wystrzępionymi ubłoconymi nogawkami, trzymały się na jednej szelce. Była to więc bardzo malownicza postać. Huck chodził, gdzie chciał i kiedy chciał. Sypiał na schodach, gdy było ładnie, a w pustych beczkach, kiedy było brzydko. Nie musiał chodzić do szkoły ani do

kościół, do nikogo nie musiał mówić „proszę pana” i nikogo nie słuchał. Mógł chodzić na ryby i kapać się, kiedy tylko miał na to ochotę; siedział nad rzeką, jak długo chciał. Nikt nie zabraniał mu się bić i nikt nie kazał mu chodzić wcześniej spać. Na wiosnę zawsze pierwszy chodził boso, a jesienią ostatni zakładał buty. Mógł się w ogóle nie myć i nie nosić czystej bielizny. I umiał cudownie kłać. Jednym słowem, chłopak ten miał wszystko, co może uczynić życie pięknym. Tak przynajmniej uważali wszyscy udęczeni synowie przyzwoitych rodziców w miasteczku St. Petersburg.

Tomek przywitał się z tym romantycznym włóczęgą:

– Serwus, Huckleberry!

– Serwus, co słychać?

– Co tam masz?

– Zdechłego kota.

– Pokaż! O rany, zdechły jak nic! Skąd go masz?

– Kupiłem od jednego chłopca.

– Co dałeś za niego?

– Niebieską kartkę i pęcherz z rzeźni.

– A skąd wzięłeś kartkę?

– Dwa tygodnie temu kupiłem ją od Bena Rogersa. Dałem mu za nią kijek do kółka.

– Słuchaj, Huck, a do czego ci potrzebny zdechły kot?

– Do czego? Do usuwania brodawek.

– Serio? Ja znam lepszy sposób.

– Niemożliwe. A jaki to sposób?

– Woda ze zgniłego drzewa.

– Woda ze zgniłego drzewa? To do niczego!

– Nie gadaj. Próbowaleś kiedyś?

– Ja nie, ale Bob Tanner próbował.

– Kto ci to powiedział?

– On mówił to Jeffowi Thatcherowi, a Jeff Thatcher Johnny'emu Bakerowi, a Johnny Jimowi Hollisowi, a Jim Benowi Rogersowi, a Ben pewnemu Murzynowi, a Murzyn powiedział to mnie. A widzisz!

– No i co z tego? Oni wszyscy kłamią. Może z wyjątkiem Murzyna. Nie znam go. Zresztą nieważne. Ale powiedz mi, jak Bob Tanner to zrobił?

– No wiesz, wsadził rękę w otwór spróchniałego pnia, w którym zbiera się deszczówka.

– W dzień?

– Jasne, że w dzień.

– Z twarzą do drzewa?

– Tak, chyba tak.

– Co mówił przy tym?

– Pewnie nic nie mówił. Zresztą nie wiem.

– No właśnie! I taki osioł będzie coś gadał o usuwaniu brodawek zgniłą wodą! To do niczego! Trzeba pójść samemu w głąb lasu, odszukać zgniły pień, w którym po deszczu zbiera się woda, o północy odwrócić się plecami do drzewa, wetknąć rękę w otwór i powiedzieć:

„Na ropuchę i purchawki,
zgniła wodo, zjedz brodawki!”

Potem trzeba szybko pójść z zamkniętymi oczami jednaście kroków przed siebie, potem trzy razy się obrócić i pójść do domu. Ale po drodze nie wolno z nikim rozmawiać, bo gdy się powie choć słowo, czary tracą moc.

– Hm, to wygląda na dobry sposób. Ale Bob Tanner tak nie robił.

– Na pewno nie. On ma najwięcej brodawek z nas wszystkich, a przecież nie miałby ani jednej, gdyby wiedział, jak należy stosować zgniłą wodę. Ja tym sposobem pozbyłem się już tysiąca brodawek. Ciągłe bawię się żabami i dlatego wciąż robią mi się nowe. Czasami także usuwam je bobem.

– Tak. Bób jest dobry. Też go stosowałem.

– Tak? A w jaki sposób?

– Trzeba wziąć ziarenko bobu, rozłupać je, naciąć brodawkę do krwi, potem posmarować obie połówki bobu krwią i jedną zakopać o północy na rozstajach dróg, wtedy gdy nie ma księżyca, a drugą połówkę spalić. Połówka nasmarowana krwią ciągnie i ciągnie, żeby przyciągnąć do siebie drugą połówkę i w końcu brodawka odpada.

– Zgadza się. A jeśli zakopując bób, powiesz: „**Idź bobie pod ziemię – precz brodawko ode mnie**” – to jeszcze lepiej. Tak właśnie robi Joe Harper, a on już był blisko Coonville i w ogóle dużo widział. A jak się usuwa brodawki zdechłym kotem?

– To jest tak: bierzesz kota i idziesz z nim na cmentarz nocą w dniu, kiedy pochowano jakiegoś bezbożnika. O północy przyjdzie diabeł albo nawet dwa i trzy, ale widzieć ich nie można, najwyżej usłyszysz się coś jakby wiatr, a czasem nawet ich rozmowę. A kiedy zabierają duszę tego nieboszczyka, trzeba rzucić za nimi kotem i powiedzieć:

Tak jak diabeł znika z trupem,
Tak jak kot ucieka z łupem,
Niech brodawki mi znikają,
Czystą skórę zostawiają!

Ten sposób usuwa każdą brodawkę.

– To może być niezłe. Próbowaleś już tego, Huck?

– Nie, ale mama Hopkins mi opowiadała.

– W takim razie to musi być prawda, bo wszyscy mówią, że ona jest czarownicą.

– Mówią? Ja wiem, że nią jest! Rzuciła przecież czary na mojego ojca. Sam to mówi. Idzie raz ojciec drogą i widzi, że ona chce na niego rzucić urok, chwycił więc kamień i gdyby się nie schyliła, trafiłby ją porządnie. I co na to powiesz, że tej samej nocy spadł z szopy, na której spał pijany, i złamał sobie rękę?

– Rany! To straszne. A skąd twój ojciec wiedział, że ona chce na niego rzucić czary?

– Mój Boże, ojciec świetnie zna się na tym. Mówi, że gdy ona wlepi tak w kogoś oczy, to czaruje. Zwłaszcza jeżeli coś przy tym mruczy pod nosem. Bo wtedy odmawia **Ojcze nasz** na wspan.

– A kiedy pójdziesz wypróbować kota, Huck?

– Dzisiaj w nocy. Myślę, że tej nocy diabli przyjdą zabrać starego Hossa Williama.

– Przecież pochowali go jeszcze w sobotę, Huck. Czy diabli nie zabrali go już w sobotę?

– Coś ty! Przecież przed północą diabelska moc nie działa, a potem była niedziela. W niedzielę diabły się nie pokazują.

– Prawda, nie pomyślałem o tym. Weźmiesz mnie ze sobą?

– Jasne, jeśli tylko się nie boisz.

– Boję się? Żartujesz! Przyjdź po mnie i zamiaucz.

– W porządku, ty też odpowiedz miauczeniem, jeżeli będziesz mógł. Ostatnim razem miauczałem tak długo, aż stary Hays rzucił we mnie kamieniem i krzyknął; „Przeklęte kocisko!”. Wtedy ja wrzuciłem mu cegłę przez okno. Ale nie mów o tym nikomu.

– To się rozumie. Wtedy naprawdę nie mogłem miauczeć, bo ciotka cały czas mnie pilnowała. Ale dzisiaj się postaram. Hej, co tam masz?

– Nic, kleszcza.

– Skąd go masz?

– Z lasu.
– Co chcesz za niego?
– Nie wiem. Nie chcę go sprzedawać.
– Jak uważasz. Mały jest ten kleszcz.
– Każdy może tak mówić, dopóki go nie ma. Mnie on wystarcza. Jestem z niego zupełnie zadowolony.

– Phi, jest ich cała masa. Mógłbym mieć tysiące, gdybym chciał.
– To czemu nie chcesz? Bo dobrze wiesz, że nie możesz. To wspaniały wczesny okaz, pierwszy, jakiego widziałem w tym roku.

– Słuchaj, Huck, dam ci za niego mój ząb.

– Pokaż.

Tomek wyjął papierowe zawiniątko i ostrożnie wydobył z niego ząb.

Huck oglądał go chciwie. Pokusa była wielka. Wreszcie powiedział:

– Na pewno prawdziwy?

Tomek otworzył usta i pokazał szczerbę.

– Załatwione! – powiedział Huck.

Tomek schował kleszcza do pudełka po zapałkach, które jeszcze niedawno było mieszkaniem „szczypawki”, i chłopcy rozstali się, każdy przekonany, że jest bogatszy niż był przedtem.

Gdy Tomek dotarł wreszcie do małego, drewnianego, położonego na uboczu budynku szkolnego, wszedł do klasy szybkim krokiem, z miną człowieka, który bardzo się spieszył. Powiesił kapelusz na kołku i ruszył na swoje miejsce z pilnością wzorowego ucznia. Nauczyciel siedział na wyżynach swego tronu, w wielkim wyplatany fotelu i drzemał, ukołysany sennym szmerem uczących się dzieci. Obudziło go wejście Tomka.

– Tomasz Sawyer!

Tomek wiedział, że nazwanie go pełnym imieniem i nazwiskiem nie oznacza nic dobrego.

– Jestem!

– Chodź no tu. Cóż to, przyjacielu, znowu się spóźniłeś?

Tomek właśnie zamierzał wykręcić się jakimś niewinnym kłamstwem, gdy spostrzegł nagle dwa jasne warkocze, opadające na plecy i poznał je natychmiast, dzięki owej tajemniczej sile miłości. Zorientował się też od razu, że obok dziewczynki było jedyne wolne miejsce w całej klasie. Oświadczył więc prosto z mostu:

– Zatrzymałem się, żeby porozmawiać z **Huckiem Finnem!**

Nauczycielowi krew zastygła w żyłach. Bezradnie powiódł wzrokiem po klasie, jakby tam szukał ratunku. Zrobiło się cicho. Wszyscy byli przekonani, że Tomek zwariował. Nauczyciel zapytał:

– Co... co zrobiłeś?

– Zatrzymałem się, żeby porozmawiać z Huckiem Finnem.

Jaśniej nie można było powiedzieć.

– Tomasz Sawyer! To jest najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Odpowiedzią na to może być tylko kij. Ściągaj bluzę!

Ramię pedagoga pracowało aż do zmęczenia, potem zasoby nauczycielskiej energii zaczęły się wyczerpywać. Wreszcie padł rozkaz:

– A teraz marsz na stronę dziewcząt! I niech to będzie dla ciebie przestrogą na przyszłość.

Wydawało się, że śmiech, który przeleciał po klasie, zawstydził Tomka. W rzeczywistości jednak przyczyną jego zmieszania było pełne onieśmienia uwielbienie dla tego nieznanego bóstwa i bezgraniczne szczęście, że udało mu się usiąść obok niej. Usiadł na skraju sosnowej ławki, a dziewczynka odsunęła się od niego, ostentacyjnie odwracając głowę. Po klasie szły szturchańce, porozumiewawcze znaki i szepty, ale Tomek siedział spokojnie, z rękami na długim niskim pulpicie i nosem w książce.

Powoli klasa przestała zwracać na niego uwagę i powróciła zwykła senna atmosfera. Tomek zaczął rzucać na dziewczynkę ukradkowe spojrzenia. Zauważyła to, skrzywiła się z niesmakiem i przez minutę pozwoliła mu oglądać tylko tył swojej głowy. Gdy się ostrożnie odwróciła, leżała przed nią brzoskwinia. Odrzuciła ją gwałtownie, Tomek łagodnie podsunął ją znowu. Odrzuciła ją ponownie, ale już z mniejszą niechęcią, Tomek cierpliwie podsunął ją znowu. Zostawiła ją tam, gdzie leżała. Tomek nagryzmoilił na tabliczce: „Proszę cię, weź, mam więcej”. Dziewczynka zerknęła na tabliczkę, ale nic nie odpowiedziała. Wtedy Tomek zaczął coś rysować na tabliczce, lewą ręką zasłaniając przed nią swe dzieło. Przez chwilę udawała, że nic ją to nie obchodzi, ale wkrótce zwykła ludzka ciekawość wzięła górę. Chłopiec pracował dalej. Dziewczynka nieśmiało zerknęła na tabliczkę, ale on udawał, że nic nie zauważył. Wreszcie uległa i szepnęła niepewnym głosem:

– Pokaż...

Tomek odsłonił nieudolną karykaturę domu z dwoma szczytami dachu i wychodzącym z komina dymem w kształcie korkociągu. To wspaniałe dzieło zainteresowało dziewczynkę i zapomniała o wszystkim. Gdy skończył, przyjrzała się rysunkowi i szepnęła:

– Śliczne. Teraz narysuj człowieka.

Artysta dorysował człowieka, olbrzymiego potwora, który spokojnie mógłby przejść ponad domem. Ale dziewczynka nie była pedantką. Potwór zupełnie ją zadowalał. Szepnęła:

– Pysznie! Zrób jeszcze mnie, jak przychodzę.

Tomek namalował coś podobnego do klepsydry z głową jak księżyc w pełni i słomkami zamiast rąk i nóg. Rozcapierzone palce uzbroił w potężny wachlarz.

– Ach, jakie to śliczne! – powiedziała dziewczynka. – Chciałabym tak umieć rysować!

– To zupełnie łatwe – odszepnął Tomek. – Jak chcesz, mogę cię nauczyć.

– Naprawdę? Kiedy?

– W południe. Czy idziesz do domu na obiad?

– Zostanę, jeśli chcesz.

– Wspaniale. Jak się nazywasz?

– Becky Thatcher. A ty? Ach, prawda, wiem: Tomasz Sawyer.

– Tak się nazywam, gdy dostaję lanie. Kiedy jestem grzeczny, nazywam się Tomek. Ty będziesz do mnie mówiła Tomek, prawda?

– Tak.

Zaczął znowu coś gryzmoilić na tabliczce. Ale ona już się nie odwracała. Chciała widzieć. Odpowiedział:

– O, to nic takiego!

– Nie wierzę. Tam coś jest.

– Ależ nic. Zresztą nie będziesz chciała na to patrzeć.

– Przeciwnie, bardzo, bardzo chcę. Proszę cię, pokaż!

– A nie powiesz nikomu?

– Nigdy! Słowo!

– Naprawdę? Nigdy w życiu?

– Nikomu nie powiem aż do śmierci. A teraz pokaż!

– Lepiej nie. I tak nie będziesz chciała na to patrzeć.

– Im dłużej tak mówisz, tym bardziej chcę, Tomku – i położyła swoją rączkę na jego ręce. Nastąpiła maledukacja utarczka. Tomek udawał, że naprawdę się opiera, ale pomału odsuwał rękę, odsłaniając w końcu napis: **Kocham cię.**

– Ach, ty wstręciuchu! – dała mu lekkiego klapsa, ale zarumieniła się i wyglądała na zadowoloną.

Właśnie w tej chwili chłopiec poczuł, że jakieś żelazne kleszcze zaciskają się powoli wokół jego ucha i coś ciągnie go do góry. W ten sposób, ku niewysłowionej ucieście uczniów, został przeprowadzony przez całą klasę i usadzony na swoim zwykłym miejscu. Nauczyciel stał nad nim

przez kilka strasznych chwil, aż wreszcie bez słowa włożył na swój tron. Choć ucho Tomka piekło, serce jego śpiewało hymn radości.

Gdy w klasie zapanował spokój, Tomek usiłował rzetelnie wziąć się do nauki, ale był zbyt wzburzony, aby się skupić. Gdy przyszła na niego kolej czytania, robił same błędy. Pytany z geografii zamieniał jeziora w góry, góry w rzeki, rzeki w łądy stałe tak, że na ziemi zapanował chaos niczym przed stworzeniem świata. W dyktandzie strzelał byki w najprostszych słowach, toteż gdy wreszcie wstał z ławki, to tylko po to, by oddać blaszany medal, który w nagrodę za dobrą pisownię nosił z dumą przez kilka miesięcy.

Rozdział VII

Im sumienniej starał się Tomek przykuć uwagę do książki, tym bardziej uciekały mu myśli. Wreszcie westchnął, ziewnął i dał spokój tym usiłowanym. Miał wrażenie, że południowa przerwa nigdy nie nadejdzie. Powietrze wprost zamarło, nie wiał nawet najlżejszy wiaterek. Ze wszystkich sennych dni ten był najbardziej senny. Monotonne mruczenie dwudziestu pięciu uczących się dzieci usypiało jak brzęczenie pszczół. Daleko, poprzez migotliwe rozgrzane powietrze, majaczyła delikatna zieleń wzgórza Cardiff, skąpanego w blasku słońca. Wysoko szybowało leniwie kilka ptaków. Poza tym nie było widać żadnej żywej istoty oprócz kilku krów – a i te spały.

Dusza Tomka wyrwała się na wolność i gorączkowo poszukiwała jakiejś rozrywki, która pozwoliłaby przetrwać te straszne chwile. Sięgnął ręką do kieszeni i nagle błysk radości rozjaśnił mu twarz – była to prawdziwa modlitwa dziękczynna. Ukradkiem wyjął pudełko po zapalniczkach. Wypuścił kleszcza na wolność i posadził go na płaskim pulpicie. Zwierzątko prawdopodobnie również zapłonęło gorącą wdzięcznością, ale była ona przedwczesna, bo gdy chciało pełne radosnych uczuć wybrać się w podróż, Tomek zawrócił je szpilką i zmusił do obrania innego kierunku.

Obok Tomka siedział jego serdeczny przyjaciel, który cierpiał tak samo jak on i teraz z głęboką wdzięcznością przyłączył się do zabawy. Przyjaciel nazywał się Joe Harper. Przez cały tydzień chłopcy byli serdecznymi przyjaciółmi, ale w niedzielę zamieniali się w zaciętych wrogów i toczyli ze sobą wojny. Joe wyjął szpilkę z kłapy swojej bluzy i przyłączył się do musztrowania jeńca. Zabawa stawała się coraz bardziej interesująca. Wkrótce jednak Tomek oświadczył, że sobie nawzajem przeszkadzają i żaden z nich nie ma z kleszcza korzyści. Położył więc tabliczkę Joego na pulpicie i narysował na jej środku pionową linię.

– Teraz – powiedział – jak długo kleszcz jest na twojej stronie, możesz go poganiać, ile chcesz, ale gdy ucieknie na moją stronę, musisz go zostawić w spokoju, dopóki mi znowu nie ucieknie do ciebie.

– Świetnie! No to puszczaj go!

Kleszcz szybko uciekł Tomkowi i przekroczył granicę. Joe męczył go jakiś czas, aż zwierzątko znowu wyrwało się na drugą stronę. Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Gdy jeden z pełnym poświęceniem znęcał się nad kleszczem, drugi przyglądał się z nie mniejszym zainteresowaniem. Obaj chłopcy zapomnieli o bożym świecie. Wreszcie szczęście bardziej zaczęło sprzyjać Joemu. Kleszcz miotał się na prawo i lewo, próbował tej i innej drogi, i był tak samo zdenerwowany i podniecony jak chłopcy. Za każdym razem, gdy Tomkowi zdawało się, że już już zdobycz przekracza jego granicę, a ręce rwały się do działania, szpilka Joego zgrabnie zwracała zwierzątko z powrotem. Wreszcie Tomek nie wytrzymał. Pokusa była za silna. Wyciągnął rękę i dopomógł troszkę swoją szpilką. Joe wpadł w gniew.

– Co robisz, Tomek! Zostaw go!

– Chciałem go tylko trochę popchnąć...

– No nie, mój drogi, to nieuczciwe.

– Przecież wolno mi go trochę popchnąć.

– Puść go w tej chwili!

– Nie puszczę!

– Musisz, przecież jest po mojej stronie.

– Słuchaj, Joe, czyj to kleszcz?

– Nieważne, jest po mojej stronie i masz go puścić!

– Coś takiego! To jest mój kleszcz i zrobię z nim, co mi się będzie podobało!

Potężny cios spadł na plecy Tomka i drugi taki sam na plecy Joego. Przez dwie minuty z dwóch bluz leciał kurz i przez dwie minuty klasa miała niezłe widowisko. Chłopcy byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli ciszy, jaka zapanowała w klasie, gdy nauczyciel zaczął skradać się na palcach w stronę

ich ławki i stanął nagle nad nimi. Przyglądał się dość długo ich wyczynom, zanim zdecydował się urozmaicić im zabawę swym osobistym udziałem.

Gdy wreszcie nadeszła przerwa południowa, Tomek podbiegł do Becky Thatcher i szepnął jej do ucha:

– Włóż kapelusz i udawaj, że idziesz do domu, a gdy dojdiesz do rogu, wróć tutaj boczną uliczką. Ja pójdę inną drogą i wrócę tak samo.

Tak też się stało. Tomek poszedł z grupą kolegów, a Becky z koleżankami. Po chwili spotkali się u wylotu małej uliczki i wrócili do szkoły, którą mieli teraz na swój wyłączny użytek. Usiedli obok siebie i położyli na ławce tabliczkę; Tomek podał dziewczynce rysik i trzymając jej rękę w swojej, tworzył nowy nadzwyczajny dom. Gdy zainteresowanie sztuką osłabło, zaczęli rozmawiać. Tomek był wniebowzięty.

– Lubisz szczury? – zapytał.

– Pfuj, nienawidzę!

– No tak, żywe. Ale ja mówię o zdechłych, którymi można kręcić na sznurku wokoło głowy.

– Nie, nie cierpię szczurów, ani żywych, ani zdechłych. Wiesz, co lubię? Gumę do żucia.

– Aha... Szkoda, że nie mam.

– Ale ja mam. Chcesz? Pożuj chwilę, ale potem musisz mi oddać.

To było wspaniałe. Żuli na zmianę i majtali nogami z nadmiaru szczęścia.

– Byłaś kiedyś w cyrku?

– Tak, i tatuś jeszcze mnie tam zabierze, jak będę grzeczna.

– Ja byłem w cyrku trzy, cztery, no, w ogóle dużo razy. Kościół nie umywa się do cyrku. W cyrku przez cały czas są jakieś nowe hece. Gdy dorosnę, zostanę kłownem w cyrku.

– Ojej, naprawdę? To cudowne! Kłowni mają zawsze takie kolorowe stroje.

– No właśnie. A wiesz ile zarabiają pieniędzy? Całą masę! Co najmniej dolara dziennie. Ben Rogers mi to mówił. Słuchaj, Becky, czy byłaś już kiedyś zaręczona?

– A co to jest?

– No, zaręczona, żeby potem wyjść za mąż.

– Nie.

– A chciałybyś?

– Chyba tak. Zresztą nie wiem. A jak to jest?

– Jak? To żadna sztuka. Musisz tylko powiedzieć chłopcu, że nigdy nie chcesz kochać nikogo innego, tylko jego, na zawsze, a potem pocałować go i rzecz załatwiona. Każdy to potrafi.

– Pocałować? Po co?

– Widzisz, to jest takie... no, ładne, i tak się zawsze robi.

– Zawsze?

– Tak robią wszyscy, którzy się kochają. Pamiętasz, co ci napisałem na tabliczce?

– Ta-ak.

– Więc co to było?

– Nie powiem.

– Mam ci sam powiedzieć?

– Ta-a-ak, ale kiedy indziej.

– Nie, teraz!

– Nie, nie teraz... Jutro!

– O nie, Becky, proszę cię. Ja tylko szepnę, bardzo cichutko.

Becky zawahała się. Tomek uznał milczenie za zgodę. Objął ją ręką wpół i wyszeptał wyznanie cichutko, z ustami tuż przy jej uchu.

Potem dodał:

– Teraz ty mi szepnij... to samo.

Becky opierała się chwilę, a potem powiedziała:

– Musisz się odwrócić i nie patrzeć na mnie, wtedy powiem. Ale nie powtórzysz tego nikomu, pamiętaj, Tomku! Więc nie powiesz nikomu?

– Nie, nigdy w życiu! A teraz Becky...

Odwrócił się. Ona nachyliła się nieśmiało, aż oddech jej musnął jego włosy i wyszeptwała:

– Kocham cię.

Potem odskoczyła i zaczęła uciekać między ławkami, a Tomek gonił ją po klasie. Wreszcie schroniła się w kącie, zasłaniając sobie twarz białym fartuszkim. Tomek objął ją za szyję i prosił:

– Becky, proszę cię, już po wszystkim. Jeszcze tylko pocałunek. Nie bój się, to nic takiego. Becky, proszę cię!

Ciągnął ją za fartuszek i próbował odjąć jej dłonie od twarzy. Becky ustąpiła w końcu i opuściła rękę. Spoza fartuszka ukazała się zaczerwieniona od szamotania twarzyczka. Dziewczynka poddała się. Tomek pocałował czerwone usteczka i powiedział:

– Już po wszystkim, Becky. Pamiętaj, że od tej chwili nie wolno ci kochać nikogo innego, oprócz mnie i nie wolno ci wyjść za mąż za żadnego innego chłopaka, tylko za mnie. Przyrzekasz?

– Tak, nigdy nie będę kochała nikogo innego, tylko ciebie, Tomku i tylko za ciebie wyjdę za mąż. A ty nie ożenisz się z nikim innym, tylko ze mną.

– Naturalnie, ma się rozumieć. Zawsze idąc do szkoły albo wracając do domu, musisz iść ze mną, gdy nikt nie będzie widział. We wszystkich grach i zabawach będziesz wybierać mnie, a ja ciebie – tak robią narzeczeni.

– Ach, to cudowne! Nigdy przedtem o tym nie słyszałam.

– To jest bardzo fajne. Gdy ja i Amy Lawrence...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.